

Już dziś specjalny dodatek **HIPOKRATES**

● A w nim prezentujemy nominowanych we wszystkich kategoriach

dziś **SPORTOWY24**

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA



Poniedziałek, 6.10.2025
Nr 80 (2487)

Cena
6,00 zł (w tym 8% VAT)

Informacje z Kraju i ze Świata
www.i.pl

NR ISSN 1898-3081
NR INDEKSU 349-682



4 1



FOT. NIFC / KRZYSZTOF SZLEZAK

Warszawa słucha Chopina

Cała Warszawa jest rozwibrowana Chopinem, a my odbieramy mnóstwo sygnałów od miłośników muzyki z całego świata – mówi dr Aleksander Laskowski, rzecznik NIFC **STR. 6**

POLITYKA

Minister Żurek
kontra prezydent
i opozycja

STR. 4

ROSJA

Dla Putina wojna
w Ukrainie jest
walką o przetrwanie

STR. 8

SPORT

Jan Urban dla
„Polski”: Stabilizacja
jest najważniejsza

STR. 20

WYWIAD

Historia Bożeny
Batyckiej to opowieść
o upadku i powrocie

STR. 16

W piątek magazyn Puls

● Rozpoczyna się tydzień przyznawania nagród Nobla. Poznamy laureatów w dziedzinie medycyny, fizyki, chemii, literatury oraz ekonomii

Zamów prenumeratę

Polska Metropolia Warszawa ☎ 22 230 20 38
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

Tadeusz Płatek
publicysta



19. KONKURS CHOPINOWSKI

Każda okazja jest dobra dla ludzi, którym nie podoba się nic, poza Polską wstającą z kolan. Mamy więc w przestrzeni internetowej jójczenie, że na inauguracji konkursu nie odegrano hymnu państwowego, a na scenie brakowało polskich flag. I to nawet w sytuacji, gdy wieczór zaczął się od Poloneza A-dur z op. 40 w transkrypcji Grzegorza Fitelberga - poloneza, który w zasadzie jest hymnem Polski, za taki w każdym razie wielu go uważało, z Arturem Rubinsteinem na czele. Oczywiście mamy polowanie na narody. A to, że Rosjanie w jury i wśród uczestników, a to, że Chińczycy nas zalewają, ulice rozkopane, a pomnik Fryderyka zasłonięty.

Mnie fakt, że w konkursie mamy „tylko” trzynastu Polaków, cieszy, oznacza bowiem, że cały świat się Konkursem Chopinowskim wciąż interesuje. Świat ma w nosie remonty, korki, objazdy i pomniki. Przyjeżdża do nas dla muzyki. Nie ma na całym globie imprezy tej rangi, na której byłyby grane utwory wyłącznie jednego kompozytora! I - uwaga dla niedowiarków - świat nie wątpi w polskość Chopina, wie także, w jakim kraju znajduje się Warszawa!

Narodowe jójczenie odbywać się będzie nie tylko w komentarzach tzw. „prostych ludzi”, ale również w wypowiedziach tzw. „ekspertów”, których poziom bywa prawie tak wysoki, jak komentatorów sportowych. 2 Program Polskiego Radia będzie przez miesiąc trąbił wyłącznie o Frycku, trąbił tonem nie znających sprzeciwu wyroczni, choć przecież muzyka Chopina wątpliwości jest pełna. Niektórzy nawet sądzą, że to jej największa tajemnica. Przez miesiąc będziemy mieli wymądrzałki: co wolno, a co nie, czy dźwięk piękny czy strzelony, czy fraza mądrze poprowadzona, czy dany pianista dojrzały, inteligentny...

Na szczęście konkurs ma mądre jury - to fachowcy, ludzie piękni, mądrzy, odważni i co najważniejsze - zweryfikowani przez rynek. Świat ich kocha, podziwia. Ten konkurs jest zresztą, w założeniu, trochę sportowy i będzie wzbudzał emocje. Jak więc wypadną Polacy? Nie zaczęli z wysokiego C, ale z każdym kolejnym kandydatem nadzieja nasza, narodowa, rośnie w siłę!

”

*Naprawa wymiaru
sprawiedliwości cały czas trwa
i będzie postępować, niezależnie
od tego, jak bardzo krzyczeć będą ci,
którzy przez lata ten system
derwastowali*

Marcin Kierwiński, szef MSWiA

DOBRE CHEĆCI NIE ZAKRZYWIĄ RZECZYWIŚTOŚCI

Fabryka silników samochodowych w Bielsku-Białej została zamknięta definitywnie, mimo że zakład przynosił spore zyski. Ostatni prezes spółki wyjaśnił, że likwidacja jest skutkiem decyzji Komisji Europejskiej o wygaszeniu produkcji silników spalinowych w Unii.

Coś się kończy, coś zaczyna? Fajna sentencja, lecz życie jest bardziej skomplikowane niż sentencje.

Chcemy czystego powietrza, chcemy się uniezależnić od producentów paliw kopalnych. I chętnie się zgadzamy z postulatem redukcji emisji CO2. Schody zaczynają się przy wyborze metody osiągnięcia tych celów.

To, co wydarzyło się w Unii, dowodzi, że ułuda jest marzenie o zastąpieniu weryfikowanych wyborczo polityków przez ekspertów. Wychodząc z założenia, że większość Europejczyków zgadza się z wymienionymi celami i obawia globalnego ocieplenia, narysowano projekt i przystąpiono do realizacji. Zwłaszcza że w tle mieliśmy cel rzadko formułowany,

Liliana Sonik
publicystka



choć bodaj najważniejszy: Europę tracącą globalną przewagę w produkcji przemysłowej i nauce miały ratować zielone technologie. Miały stać się kołem zamachowym europejskiej gospodarki. Żeby tak się stało, trzeba było dać światu przykład.

W teorii wszystko wyglądało doskonale. Zaś w praktyce mieliśmy pewnych siebie urzędników, którzy postanowili - dla naszego dobra - zakrzywić rzeczywistość. A przecież ostrzeżeń nie brakowało. Prezesi Renault i Stellantis dowodzili, że wskutek rygorystycznych wymogów dotyczących emisji CO2 produkcja w Europie małych - czyli tańszych - samochodów stała się kompletnie nieopłacalna. Sprzedaż nowych aut w Europie od 5 lat spada na łeb nie dlatego, że ludzie rezygnują z sa-

mochodów, ale dlatego, że jeżdżą starymi, bo nie stać ich na nowe. A stare auta do ekologicznych nie należą. Z kolei elektryki stały się wizytówką prestiżu.

Do dramatycznego apelu prezesów Renault i Stellantis dołączył szef Mercedesa, który zażądał pilnego wycofania zakazu aut spalinowych. Kiedyś Mercedes zapowiadał, że w 2030 r. będzie sprzedawać wyłącznie auta w pełni elektryczne. Teraz koncern koryguje ambicje, obniżając cel o połowę. Planuje w 2030 r. 50 proc. samochodów zelektryfikowanych, w co wlicza hybrydy plug-in. Problem w tym, że hybrydy też są zagrożone, bo Bruksela uznała je za niewystarczająco „zielone”.

Zamknięcie fabryki w Bielsku-Białej nie jest wyjątkiem. W całej Europie ogranicza się

produkcję aut i redukuje zatrudnienie w przemyśle motoryzacyjnym oraz u dostawców wyposażenia. A ponieważ natura nie znosi pustki, europejski rynek zdobywają szturmem znacznie tańsze samochody chińskie. Tylko w Polsce w tym roku sprzedano ok. 30 tys. chińskich aut. Chińska konkurencja - z nieistotnej w tym segmencie gospodarki - stała się w ciągu kilku zaledwie lat wyzwaniem dla europejskich producentów.

Dostojewski pisał, że „jeśli Pan Bóg chce kogoś pokarać, to mu rozum odbiera”. Ponieważ tymczasowo figura Boga karzącego wyszła z użycia, można się pokusić o adaptację w stylu: „jeśli rynek chce kogoś ukarać, wpierw mu rozum odbiera”. Choć nie zawsze stanowcze decyzje są błędem. W obszarach mniej ekonomicznie skomplikowanych łatwiej o sukces. Takim było np. wyeliminowanie kopciuchów czy żarówek pozerających prąd. Jednak i tu transformacja wymagała czasu, bo pierwsze świecące trupim światłem „energooszczędne” były porażką.

EDUKACJA PO PREZYDENCCKU

Człowiek uczy się całe życie. Przyznam, że dopiero po pamiętnej debacie prezydenckiej uświadomiłam sobie, jak mało wiem o używkach. Dzięki Karolowi Nawrockiemu, który przed kamerami zażył tajemniczą substancję, dowiedziałam się o istnieniu snusów.

Przekaz poszedł w Polskę, a o takiej reklamie producenci i sprzedawcy nikotynowych saszetek nawet nie marzyli. Ile osób pójdzie w ślady prezydenta i się uzależni?

Najbardziej niepokojące jest to, że woreczki z nikotyną zdobywają popularność wśród dzieci i młodzieży. Nie twierdzę, że to zasługa jedynie prezydenta, ale swoją cegiełkę z pewnością dołożył. Saszetki, w odróżnieniu

Urszula Baumann
publicystka



od papierosów, nie mają specyficznego zapachu. Nauczycielom i opiekunom trudno jest się zorientować, że dzieci wpadają w szpony nałogu. W sieci nie brakuje wpisów przerażonych rodziców, którzy dowiadują się od wychowawców, że powinni obserwować swoje pociechy, bo w szkole pojawiła się niebezpieczna substancja.

Prezydent nie przejął się wrzawą wokół swojego nałogu, a jego otoczenie bagatelizuje publiczne „dawanie sobie w dziąsło”. W ubiegłym ty-

godniu ponownie został przyłapany przez kamery na charakterystycznym geście - tym razem na zgrupowaniu ONZ. Jego asystent, zamiast szepnąć do ucha, że nie wypada, usłużnie podsunął mu pudełeczko z używką. Poszło w świat.

Na tym „zasługi” prezydenta dla edukacji zdrowotnej się nie kończą. Niedawno ogłosił, że wypisał syna z przedmiotu o tej nazwie. Argumenty? Wyssane z palca, o przemycanej do szkół ideologii i polityce. Z pewnością

znaleźli się tacy, którzy w te słowa uwierzyli.

Objęmując najwyższy urząd, Karol Nawrocki przysięgał, że dobro Ojczyzny oraz pomyślność obywateli będą dla niego zawsze najwyższym nakazem. Tymczasem najważniejsze okazują się interesy wspierającej go partii, a zdrowie Polaków stało się zakładnikiem w politycznej rozgrywce.

A szkoda, bo jako prezydent mógłby zrobić wiele dobrego. Na przykład wesprzeć lekarzy w walce z niektórymi nowotworami i zachęcić rodziców do szczepienia dzieci przeciwko HPV.

Wiem, wiem, to nierealne - wszak głowa państwa ma do szczępień „wolnościowe podejście”. Pomarzyć jednak można.

Grzegorz Kuczyński

Lwów w ogniu. Zmasowany rosyjski atak

Rosja zaatakowała Ukrainę ponad 50 rakietami, w tym Kindżałami, i ok. 500 dronami bojowymi, w nocy z soboty na niedzielę; według wstępnych danych pięć osób zginęło, a około 10 zostało rannych. Pod ostrzałem tym razem znalazł się Lwów i zachodnie tereny graniczące z Polską. Nie ma żadnych informacji, żeby polscy obywatele ucierpieli w rosyjskim ataku na Lwów – informuje MSZ. Poderwane zostały polskie samoloty

Tej nocy Ukraina ponownie znalazła się pod rosyjskim ostrzałem - ponad 50 rakiet i około 500 dronów bojowych. Uderzono rakietami manewrującymi, (dronami) Shahed, a także Kindżałami. (...) Słodałam szczerą kondolencję wszystkim, którzy stracili bliskich w wyniku tego terroru” - napisał Zełenski w komunikatorze Telegram.

Uderzenie w zachodnią Ukrainę

O godz. 06:36 czasu lokalnego we Lwowie rozległy się potężne wybuchy po doniesieniach Sił Powietrznych o zbliżaniu się do miasta rosyjskich rakiet Kindżał. Wcześniej w mieście słychać było serię wybuchów podczas ataku dronów. Pointensywnym ostrzałem część Lwowa pozostała rano bez dostaw energii elektrycznej.

Eksplozje słychać było też w Iwano-Frankowsku i w obwodzie chmielnickim.

W wyniku ataku powietrznego zniszczony został budynek mieszkalny we wsi Łapajówka w graniczącym z Polską obwodzie lwowskim. W miejscu uderzenia zginęła czteroosobowa rodzina, w tym 15-letnia dziewczyna.

Polskie samoloty w powietrzu

Do rosyjskiego uderzenia na Ukrainę odniósł się na platformie X wiceminister obrony narodowej Cezary Tomczyk: „Ciągłe operuje nasze oraz sojusznicze lotnictwo bojowe” - napisał. Wiceszef MON dodał, że „jest to jeden z największych ataków od początku wojny”.

W niedzielę, chwilę po godzinie 4 rano, Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych poinformowało o uruchomieniu wszystkich niezbędnych procedur w celu zapewnienia bezpieczeństwa polskiej przestrzeni powietrznej.

Nalot na Zaporże

W nocy rosyjskie wojska przeprowadziły też zmasowany



Tym razem Rosja zaatakowała tereny leżące przy granicy z Polska

połączony atak na Zaporże, używając bezałogowych statków powietrznych typu „Shahed” i kierowanych bomb lotniczych. W wyniku co najmniej 10

trafień w mieście doszło do przerw w dostawach energii elektrycznej i wody. Jedna osoba zginęła, a co najmniej dziewięć zostało rannych.

Brutalny atak na pociąg pasażerski

Z kolei w sobotę rosyjskie wojsko uderzyło w dworzec kolejowy i pociąg pasażerski

w obwodzie sumskim na północnym wschodzie Ukrainy; w wyniku ostrzału co najmniej 30 osób zostało rannych - podały w sobotę miejscowe władze.

Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski przekazał, że był to atak dronowy.

Zełenski podkreślił, że siły rosyjskie nie mogły nie wiedzieć, że atakują ludność cywilną, i że jest to terror, którego świat nie ma prawa ignorować. „Każdego dnia Rosja odbiera ludziom życie. I tylko siła może zmusić ich do zaprzestania tych działań. Słyszeliśmy zdecydowane oświadczenia Europy i Ameryki, i już dawno nadszedł czas, aby je wszystkie zrealizować” - oświadczył. PAP

MATERIAŁ INFORMACYJNY FUNDACJA ZIEMIA I LUDZIE

PRAWDZIWE HISTORIE CZYSTEGO POWIETRZA

Termomodernizacja domu? Tylko zalety

W marcu ruszyła nowa edycja programu Czyste Powietrze. Pomaga tak zmodernizować dom, by zimą było ciepło, latem chłodno, i by spadły rachunki za ogrzewanie. Ponadto wymiana nieefektywnego źródła ciepła na paliwo stałe ma służyć walce ze smogiem, czyli o to, aby z kominów emitowano najmniej zanieczyszczeń. Pani Jolanta z Nowego Brzeska Małopolskiego skorzystała z programu Czyste Powietrze w ubiegłym roku. Teraz zachęca innych – jest kolosalna różnica! Ciepło, estetycznie i wygodnie.

– Dla mnie złożenie wniosku i przejście przez wszystkie procedury było dość skomplikowane. Nie posługuję się Internetem. Od początku do końca pomagała mi więc pani urzędniczka z urzędu gminy. Razem ze mną wypełniła wniosek, podpowiedziała jak znaleźć audytora – opowiada pani Jolanta. Audytor zbadał dom i wskazał wszystkie elementy do zmiany. Powiedział jak ocieplić dom, jaka powinna być grubość styropianu itd. Wykonawcy działali potem według tych wskazań wynikających z audytu. Wniosek obejmował wymianę źródła ciepła – pani Jolanta miała jeszcze w domu stary piec na węgiel, czyli „kopciucha”. Zdecydowała się na butlę gazową, bo nie mają dostępu do sieciowego gazu. Warto pamiętać, że w obecnej edycji programu Czyste Powietrze ogrzewanie

gazem już nie jest objęte dotacją. W ofercie znajduje się np. kocioł na pellet drzewny, pompa ciepła. – Musieliśmy przerobić kotłownię i instalację c.o. Trzeba było wymienić kaloryfery, zamontować termostaty. Konieczne było ocieplenie ścian, stropu, kotłowni. Okna wymieniliśmy już wcześniej. Audytor nakazał też wymianę drzwi zewnętrznych i bramy garażowej, bo garaż jest ogrzewany – wylicza pani Jolanta. Wniosek złożony w marcu, w czerwcu już został rozpatrzony, a pod koniec sierpnia zaliczka pojawiła się na koncie wykonawcy. – Wykonawca otrzymał trzy miesiące na wykonanie prac. Był wcześniej umówiony, więc termomodernizacja budynku i wymiana źródła ciepła przebiegła bez problemów. Grzaliśmy w domu już pod koniec października – opowiada pani Jolanta. – Jest kolosalna różnica! Ciepło



w domu, estetycznie, wygodnie. 40 lat paliliśmy w piecu. Trzeba było w nocy wstawać, żeby podłożyć do pieca. Nosiliśmy węgiel po schodach, ciężko było. Teraz piec sam się włącza, sam nastawia. Woda też jest ciepła, bo razem z centralnym ogrzewaniem kocioł podgrzewa też ciepłą wodę użytkową – chwali pani Jolanta. – Nie wiem jeszcze, jak to będzie wyglądać w rachunkach, bo w tym roku piec działał przez dwa miesiące zanim dom został ocieplony, więc będzie drożej. Za to będzie niższy rachunek za prąd, bo wodę ogrzewaliśmy dotąd bojlerem elektrycznym – podsumowuje.

O CZYM TRZEBA PAMIĘTAĆ?

1. Zgromadzić potrzebne dokumenty
Trzeba sprawdzić, jaka jest powierzchnia użytkowa domu, mieć numer księgi wieczystej, numer działki, na której stoi dom. Jeżeli to stary dom, to dobrze wiedzieć, kiedy (orientacyjnie) było pozwolenie na budowę lub w jakich latach powstał. Wymagane jest zaświadczenie o dochodach z gminnego lub miejskiego ośrodka pomocy społecznej – to one wystawiają informacje o dochodach w rodzinie. Im niższy dochód, tym większa możliwa dotacja.

Mieszkańcy Nowego Brzeska inwestują w czyste powietrze

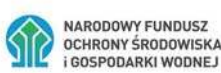
Na dzień 31 marca 2025 roku mieszkańcy Gminy Nowe Brzesko złożyli już 574 wnioski o dofinansowanie, wypłacono 11 225 016,13 zł dotacji. To inwestycja w czyste powietrze i zdrowie mieszkańców – mówi burmistrz Krzysztof Madejski. Kluczową rolę w tym procesie odgrywa działający w Urzędzie Gminy punkt informacyjno-konsultacyjny. Co ważne, gmina pełni także funkcję operatora. Mieszkańcy mogą liczyć na pełne wsparcie merytoryczne i techniczne, co znacznie przyspiesza i ułatwia udział w programie oraz daje pewność beneficjentom, że nie będą narażeni na działanie nieuczciwych firm. Listę gminnych punktów konsultacyjnych i operatorów programu znaleźć można na stronie czystepowietrze.gov.pl.

Do wniosku potrzebne są także np. numer PESEL, dane adresowe i adres e-mail, bo wniosek wypełnia się tylko elektronicznie. A co, jeśli ktoś nie ma dostępu do Internetu, nie zna obsługi komputera i nie ma adresu e-mail? Na pewno pomogą w tym urzędnicy zajmujący się programem w punktach konsultacyjno-informacyjnych prowadzonych przez gminy.

2. Audyt
Najpierw musi zostać wykonany audyt (lista audytorów na pewno będzie w gminie, ale można go też znaleźć samodzielnie). W dokumencie zostanie dokładnie wskazane, jakie prace należy wykonać.

3. Ekipa remontowa
Tę trzeba wybrać bardzo starannie, bo trzeba się będzie potem rozliczyć i udowodnić (zdjęcia, faktury), że wszystko zostało dokładnie wykonane.

4. Oczekiwanie na zwrot pieniędzy
Zaliczkę wykonawca dostaje w niedługim czasie po złożeniu stosownych dokumentów przez beneficjenta, ale na podstawową kwotę dotacji trzeba poczekać nawet kilka miesięcy. Upierzemy o tym wykonawcę.



Niniejszy materiał został dofinansowany ze środków Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Za jego treść odpowiada wyłącznie Fundacja Ziemia i Ludzie.

UWAGA, KONKURS!

Jesteś beneficjentem Czystego Powietrza? Podziel się z nami swoją Prawdziwą Historią i przekonaj innych do inwestycji w zdrowie i ciepło. Wejdź na czystepowietrzejestok.pl

Co miesiąc do wygrania hulajnoga elektryczna!

MINISTER ŻUREK KONTRA PREZYDENT I OPOZYCJA

Ostatnie rozporządzenie ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka wywołało polityczną burzę. Minister zdaje się tym nie przejmować, robi swoje. Wie, że ma za sobą rząd i Donalda Tuska. Jest zdeterminowany i postawił przed sobą jeden cel: przewrócić w Polsce praworządność

Dorota Kowalska

Kolejna decyzja Waldemara Żurka i kolejna awantura. Rozporządzenie ministra sprawiedliwości nowelizujące regulamin urzędowania sądów ogłoszono w Dzienniku Ustaw we wtorek. Sam Żurek tłumaczył w piątek, na czym ono polega.

- SLPS, czyli system losowego przydziału spraw, zwany był do tej pory przez sędziów „ziobrolotkiem”, dlatego że od jednego człowieka w Ministerstwie Sprawiedliwości mogło zależeć, co zostanie komu przydzielone. Tak mówią informatycy - mówił.

Jak wyjaśnił, teraz ministerstwo sprawiedliwości chce „zrobić inaczej”.

- Referent będzie wylosowywany, ale już przewodniczący wydziału w każdym sądzie będzie mógł dobrać, według jasnej procedury, ustalonej przez prezesa i zaopiniowanej przez kolegium, jak dobierać pozostałych dwóch do składu - powiedział Żurek. - To jest o tyle istotne, że ten „ziobrolotek” powodował chaos w wydziałach. Tak naprawdę bardzo trudno było stworzyć składy. Te losowania powodowały to, że jeden sędzia mógł być w wielu składach, biegał pomiędzy rozprawami. To wydłużało postępowanie - tłumaczył.

Dodał, że zmiana ma na celu przywrócenie sytuacji, kiedy „mamy możliwość szybszego załatwiania spraw”.

Minister Żurek podkreśla, że zmiany są zgodne z orzecznictwem Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, według którego obywatel ma prawo do sądu ustanowionego zgodnie z prawem.

- Dlatego eliminujemy ryzyko wyroków wydawanych przez nielegalne składy, a obywatel zyskuje pewność, że jego sprawa będzie rozpoznana szybko i przez niezależny sąd - podkreślił szef MS.

Żurek zaznaczył też, że nowy system nie jest wprowadzany obligatoryjnie. Przewodniczący wydziału ma możliwość zastosowania go wtedy, kiedy usprawni to postępowanie sądowe. Nadmieniał, że podobny system przydziału spraw sędziom funkcjonuje w Sądzie Najwyższym.

Jak można się było spodziewać, nowe rozporządzenie nie spodobało się opozycji, która natychmiast ruszyła do ataku. Pierwszy był jednak prezydent Nawrocki.

„Rozporządzenie ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka z 29 września 2025 r. zmieniające regulamin urzędowania sądów powszechnych jest ostatecznym aktem bezprawia” - oświadczył prezydent we wpisie w mediach społecznościowych.

Karol Nawrocki ocenił, że „rozporządzenie ma de facto zastąpić ustawę, ponieważ minister sprawiedliwości ma świadomość, że w sposób legalny nie

jest w stanie wprowadzić proponowanych rozwiązań, godzących w niezawisłość i niezależność sędziowską oraz w prawo obywateli do sądu”

Zwrócił się także bezpośrednio do sędziów.

„Wzywam wszystkich sędziów - niezależnie od tego, w jakiej procedurze zostaliście powołani i z rąk którego Prezydenta RP odebraliście akt powołania - abyście, kierując się konstytucyjną zasadą z art. 178 Konstytucji, w sprawowaniu urzędu pozostali niezawisli i podlegali tylko Konstytucji oraz ustawom. W ten sposób potwierdzicie państwo swoją niezależność wobec brutalnych prób nacisku, manipulacji i bezprawia, jakie próbuje się na was wymusić” - czytamy w komunikacie.

Prezydent zaznaczył także, że „kto ulegnie bezprawiu i złamie złożoną przysięgę, sam podważy swój mandat do orzekania w imieniu Rzeczypospolitej - moralny i wynikający z zaufania publicznego - a podejmowane w takich warunkach rozstrzygnięcia będą kwestionowane”.

Oświadczenie w tej sprawie odczytał także prezydencki minister Zbigniew Bogucki.

- Rozporządzenie ministra sprawiedliwości stanowi przykład jawnego, świadomego, zaplanowanego i systemu procesu dewastacji polskiego porządku prawnego - podkreślił na konferencji prasowej. - Minister sprawiedliwości, zamiast wykonywać ustawę, chce zastąpić jej normy gwarancyjne. Rozporządzenie powinno być niezwłocznie uchylone i nie powinno być stosowane. Chodzi o to, żeby umożliwić politycznym sterowaniem wyboru sędziów - dodał.

Waldemar Żurek na słowa Boguckiego zareagował w TVN24. Stwierdził, że „jak niszczone konstytucję (za rządów PiS), to minister nie rozdzierał szat”.

- Stanowią pewne zagrożenie dla tego obozu, który tworzył państwo autorytarne. Nie boję się użyć tego słowa, bo widziliśmy, dokąd zmierza Polska - mówił w programie „#BezKitu” i podkreślił, że ze swojej decyzji nie zamierza się wycofać.

Zareagował Zbigniew Ziobro, który stwierdził, że „Donald



Minister Żurek podkreśla, że zmiany są zgodne z orzecznictwem Europejskiego Trybunału Praw Człowieka

Tusk z Waldemarem Żurkiem właśnie odbierają Polakom system losowania sędziów”.

„Waldemar Żurek nie krył, że potrzebuje zaufanych - teraz będzie mógł ich palcem wskazać, bo wyroki mają być, jak trzeba”. Roman Giertych, Tomasz Grodzki i Sławomir Nowak mogą spać spokojnie. Opozycja ma nadzieję. To proste” - ocenił.

Z kolei prezes PiS Jarosław Kaczyński grzmiał o łamaniu konstytucji.

„Najpierw nielegalnie przejęli prokuraturę, potem wbrew opinii kolegów sędziowskich wymienili prezesów sądów, a teraz chcą ręcznie wyznaczyć sędziów do orzekania” - napisał Kaczyński na X.

Ale minister Żurek zdaje się nie przejmować tą krytyką, robi swoje. Wie, że ma za sobą rząd i Donalda Tuska. Decydując się na przyjęcie teki ministra sprawiedliwości, wiele zaryzykował. Porzucił sędziowską togę, bo aktywny sędzia nie może być ministrem. Tym samym stracił

immunitet i prawo do stanu

spoczynku, czyli sędziowskiej emerytury. Nie przyjął pewnej posady, za dwa lata, jak mówią sędziowie, jego następcę „może go wywlec z ministerstwa za twarz”. Na dodatek podjął się zadania niezwykle trudnego, niektórzy mówią: to mission impossible. Uporządkowanie wymiaru sprawiedliwości wydaje się bardzo trudne, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że wybory prezydenckie wygrał Karol Nawrocki, a to prezydent musi podpisać ustawy, które odwracają reformy wprowadzone przez Zbigniewa Ziobrę. Nie zamierza jednak składać broni.

W sobotę Stowarzyszenia Sędziów Polskich „Iustitia” oraz Waldemar Żurek wzięli udział we wspólnej konferencji prasowej.

- Mamy przygotowaną ustawę praworządnościową - przekazał minister sprawiedliwości informując, że zaprezentuje ją w przyszłym tygodniu.

Dalej wskazywał, że „jeśli chodzi o kwestie orzeczeń są-

dów europejskich, europejskich trybunałów, to w listopadzie kończy się moratorium”. Europejski Trybunał Praw Człowieka dał Polsce na wykonanie wyroku w sprawie Wałęsa przeciwko Polsce czas właśnie do listopada.

Trybunał zdecydował wtedy, że „pozwanemu państwu musi podjąć odpowiednie środki legislacyjne i inne, aby zapewnić zgodność swojego krajowego porządku prawnego z wymogami „niezawisłego i bezstronnego sądu ustanowionego na mocy ustawy” oraz zasady pewności prawa”.

- Mamy szereg spraw, za które Polacy - my wszyscy, bo to idzie z naszego budżetu - wypłacamy odszkodowania za funkcjonowanie neosędziów w Sądzie Najwyższym. W Naczelnym Sądzie Administracyjnym również są neosędziowie - mówił szef MS.

- Więc my chcemy te osoby odsunąć i mamy już przygotowaną ustawę praworządnościową, tak ją nazywamy. (...) Prawdopodobnie w przyszłym tygodniu będziemy prezento-

wać gotowy projekt ustawy - oznajmił, dodając, że ma zostać w tej sprawie zwołana konferencja prasowa.

Minister Żurek stwierdził, że procedowana jest również ustawa, która pozwoli na to, aby sędziowie, którzy nie będą chcieli przechodzić w stan spoczynku, będą mogli - zdobywając stosowne zaświadczenie lekarskie - pozostawać dłużej w służbie.

- Mamy także pomysł, żeby ci sędziowie, którzy przeszli w stan spoczynku, a chcą wrócić do orzekania i mają odpowiedni stan zdrowia, byli w stanie legalnie powrócić za stół sędziowski - oznajmił.

Zaznaczył, że jest to dla niego „niezwykle ważne”, bo „mamy potężny kryzys w wymiarze sprawiedliwości, za który odpowiedzialność ponosi ekipa ministra (Zbigniewa) Ziobry”.

Minister zauważył, że podniósł limity naborów do Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury, zwiększyli także stypendia dla młodych prawników. W przyszłym roku będzie 185 miejsc na aplikacji sędziowskiej i 125 na aplikacji prokuratorskiej. To znacznie więcej niż było do tej pory.

Waldemar Żurek był też pytany, o ewentualne spotkanie z prezydentem Karolem Nawrockim przed tym, jak ustawy trafią na jego biurko.

- Oczywiście ja powiedziałem wyraźnie, że deklaruję pełną współpracę z kancelarią, z panem prezydentem. Ale moim bezpośrednim zwierzchnikiem jest premier. Jeżeli będą takie oczekiwania, żeby omówić te najważniejsze zagadnienia związane z tą ustawą, to jestem otwarty na dyskusję, bo uważam, że mamy bardzo trudny okres. Trwa wojna w Ukrainie i te wszystkie incydenty, które się zdarzają każdego dnia, powinny powodować, że nasze społeczeństwo powinno się konsolidować, a nie dzielić - stwierdził.

Cóż, o ministrze Żurku, od dawna mówiło się, że jest zdeterminowany i postawił przed sobą jeden cel: przywrócić w Polsce praworządność. Uważa, że da się to zrobić i nie zamierza odpuszczać.

Babisz pójdzie w ślady Orbana i Fico?

Były premier Czechów Andrej Babisz, którego partia wygrała wybory parlamentarne w Czechach, zadeklarował, że jego partia jest prozachodnia

Grzegorz Kuczyński

Bezpośrednio po wyborach do Izby Poselskiej w sobotę późnym wieczorem, tuż po ogłoszeniu wyników, rozpoczęły się rozmowy o nowym rządzie Czech. Do domu lidera zwycięskiego ruchu ANO Andreja Babisza najpierw przyjechali przedstawiciele prawnicowego ugrupowania Zmotoryzowani, później skrajnie prawicowej SPD.

Rozmowy są potrzebne, ponieważ chociaż populistyczny ruch ANO Babisza wygrał wybory, to nie jest w stanie sam utworzyć większościowego rządu. Babisz już w kampanii wyborczej wykluczył jakiegokolwiek porozumienie i współpracę z partiami dotychczasowej koalicji. - Zdradziłobyśmy naszych wyborców - powiedział Babisz w triumfalnym przemówieniu, gdy stało się jasne, jaki będzie układ sił w nowej Izbie Poselskiej.

Koalicja albo rząd mniejszościowy

Po pierwszych spotkaniach politycy potencjalnej koalicji rządowej ANO, SPD i Zmotoryzowanych nie rozmawiali z dziennikarzami. Jedno i drugie spotkanie trwało po około pół godziny.

ANO powinno mieć 80 z 200 poselskich mandatów. SPD 15, a Zmotoryzowani 13. Rząd większościowy mógłby powstać tylko ze wspólnym udziałem tych trzech ugrupowań. Innym wariantem może być rząd mniejszościowy tolerowany przez SPD i Zmotoryzowanych.

SPD - kłopotliwy partner dla ANO

Jeden z najbliższych współpracowników Babisza, były wicepremier i minister przemysłu Karel Havliczek, przed rozmowami z partnerami oczekiwał, że przedstawią oni swoje postulaty związane z przyszłym rządem. Analitycy są zdania, że ze strony SPD te żądania nie będą wygórowane, ponieważ wyborczy wynik skrajnej prawicy okazał się gorszy niż przewidywano.

W kampanii lider SPD mówił o gotowości obsadzenia przez jego ludzi kilku stanowisk w wy-

borach skończyła na drugim miejscu oraz z ruchem Burmistrzowie i Niezależni (STAN). Obie te formacje tworzyły gabinet Petra Fiali. W poniedziałek Pavel będzie rozmawiać z pozostałymi partiami, które zasiądą w nowej Izbie Poselskiej.

Co deklaruje Babisz?

- Jestem za Europą i za NATO - powiedział tuż po wyborach Babisz. Dodał, że chce dyskusji o Ukrainie. Wyraził przekonanie, że konflikt zakończy prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump, którego Babisz szczerze podziwia. Według niego Trump może zrobić to przy udziale państw europejskich.

Babisz zadeklarował też, że Polska zawsze była najbliższym partnerem Czech. - Jeździ, broń Boże, coś się wydarzy, będziemy stać po stronie Polski - zaznaczył. Dodał, że to wsparcie dotyczy też wschodniej granicy Polski.

Czy Czechy się zmieniają pod rządami Babisza?

Taki wynik może zmusić Babisza do utworzenia koalicji z partiami skrajnymi, co zbliży Czechy do Węgier Viktora Orbana i Słowacji Roberta Fico pod względem stanowiska wobec Ukrainy.

Praga będzie wtedy głośniejszemu mówić o potrzebie natychmiastowego zakończenia wojny i dążenia do pokoju - najprawdopodobniej na warunkach Kremla. Należy również spodziewać się mniej ostrej retoryki wobec Chin. Analityk Michael Ashcroft uważa, że Czechi mogą dołączyć do „niepokojącej z punktu widzenia Kijowa tendencji w Europie Środkowej i Wschodniej, gdzie obecne stanowisko rządów Węgier i Słowacji oraz nowego prezydenta Polski jest znacznie mniej skłonne do obrony suwerenności Ukrainy”.

Rosyjska dezinformacja

Podobnie jak w Mołdawii, gdzie przed wyborami w ostatni weekend Rosja przeprowadziła zakrojoną na szeroką skalę kampanię dezinformacyjną mającą na celu odwrócenie sympatii wy-

borców od partii proeuropejskich, Kreml stara się wykorzystać słabnące poparcie dla pomocy dla Ukrainy, które przyczyniło się do powrotu Babisza na scenę polityczną. Na TikToku wykryto setki anonimowych kont, których celem było wzmacnianie prorosyjskich narracji i wspieranie radykalnych partii w ostatnich tygodniach kampanii wyborczej.

Czego oczekują Zmotoryzowani?

Jeden z liderów Zmotoryzowanych, Filip Turek, który po wejściu do krajowego parlamentu będzie musiał złożyć mandat eurodeputowanego, przed spotkaniem z Babiszem powiedział dziennikarzom, że jego partia będzie licytowała wysoko. Jest przekonany, że przypadła jej rola języczka u wagi i będzie uczestniczyć w sprawowaniu władzy.

Turek mówił m.in. o tym, że mógłby być ministrem spraw zagranicznych lub przemysłu a szef partii Petr Macinka „byłby idealnym ministrem środowiska”. Zmotoryzowani zgadzają się z ANO co do nieprzyjmowania euro i nielegalnej migracji. Odrzucają zielony ład i nie chcą wychodzić z UE i NATO.

Prezydent Pavel zaprosił polityków do siebie

Rozmowy pod egidą ANO, które mają przybliżyć powstanie gabinetu kierowanego przez Babisza, musiały rozpocząć się jeszcze w sobotę, ponieważ na niedzielę rano przedstawiciele zwycięskiego ruchu zostali zaproszeni na spotkanie z prezydentem Petrem Pavlem. Głowa państwa chciała się dowiedzieć, jak Babisz i jego ruch wyobrażają sobie utworzenie rządu.

Pavel spotkał się także z politykami z koalicji SPOLU, która



Andrej Babisz spotkał się w niedzielę z prezydentem Czech Petrem Pavlem

borców od partii proeuropejskich, Kreml stara się wykorzystać słabnące poparcie dla pomocy dla Ukrainy, które przyczyniło się do powrotu Babisza na scenę polityczną. Na TikToku wykryto setki anonimowych kont, których celem było wzmacnianie prorosyjskich narracji i wspieranie radykalnych partii w ostatnich tygodniach kampanii wyborczej.

Czeskie Centrum Badań nad Ryzykiem Internetowym, że konta te nie są powiązane z jedną jednostką polityczną, ale „łączą wsparcie dla wielu partii antysystemowych jednocześnie”. „Łączny zasięg tych kont wynosi

od 5 do 9 milionów wyświetleń tygodniowo, czyli więcej niż łącznie oficjalne konta liderów największych czeskich partii politycznych na TikToku” - podało centrum.

Kim jest Babisz?

Babisz jest stałym elementem czeskiej polityki od 15 lat. Najpierw pełnił funkcję ministra finansów i wicepremiera, a następnie kierował krajem w latach 2017-2021. Próbował również zostać prezydentem, ale w wyborach w 2023 r. został pokonany przez Pavla. Jako jedna z najbogatszych osób w kraju, posiadająca znaczne udziały w agrobiz-

nesie i mediach, jego kariera w życiu publicznym była naznaczona sporami prawnymi i oskarżeniami o konflikt interesów oraz oszustwa związane z dotacjami unijnymi.

Jednak to właśnie jego interesy biznesowe, zdaniem wielu osób, mogą utrzymać go, a co za tym idzie także Czechy, w kręgu Zachodu, ponieważ dobre stosunki między Czechami a Francją, Niemcami i Austrią, a także stały napływ funduszy rolniczych i spójnościowych UE są ważniejsze niż wszystko, co mogą zaoferować Pekin i Moskwa. PAP

REKLAMA

0011405808



WÓJT GMINY STAROGARD GDAŃSKI

ogłasza

II nieograniczony ustny przetarg na sprzedaż działki niezabudowanej położonej w obrębie Rokocin, gmina Starogard Gdański, zapisanej w KW GD1A/00030476/3 stanowiącej własność Gminy Starogard Gdański:

Nr dz.	Pow. dz. w ha	Przeznaczenie w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego	Cena wywoławcza netto w zł	Wysokość wadium w zł
55/4	0,6412	56.U - teren zabudowy usługowej o pow. 0,5404 ha oraz 27.KDW i 01.KDGP - teren drogi wewnętrznej i publicznej o pow. 0,1008 ha	782.457,00	78.245,70

Przetarg na ww. działkę odbędzie się w sali posiedzeń Urzędu Gminy Starogard w dniu 15.12.2025 r. o godz. 9⁰⁰.

Do ceny wylicytowanej podczas przetargu doliczony zostanie podatek VAT w wysokości 23%.

Nieruchomość użytkowana jest obecnie rolniczo przez dzierżawcę. Umowa dzierżawy obowiązuje do dnia 20.11.2025 r. Nieruchomość obciążona jest ograniczonym prawem rzeczowym – służebnością przechodu i przejazdu, która nie dotyczy działki nr 55/4, poza tym nieruchomość nie posiada innych niż ww. obciążeń i zobowiązań. Nie określa się terminu jej zagospodarowania.

Przedmiotowa nieruchomość położona jest w obrębie Rokocin, gminy Starogard Gdański, w centralnej części wsi, bezpośrednio przy drodze krajowej nr 22. Do centrum miasta Starogard Gdański jest odległość około 4,4 km w kierunku wschodnim. Działka posiada kształt regularny, zbliżony do kwadratu, od strony zachodniej graniczy z drogą gminną o nawierzchni asfaltowej prowadzącej do wsi Stary Las. Sąsiaduje głównie w otoczeniu zabudowań z budynkami jednorodzinnymi. Teren nieruchomości nieznacznie zróżnicowany, ze spadkiem w większości w kierunku północnym. Lokalizacja nieruchomości jest bardzo dobra w odniesieniu do lokalnych układów komunikacyjnych, jak również w odniesieniu do układu komunikacyjnego regionu.

Termin składania wniosków przez osoby, którym przysługuje pierwszeństwo w nabyciu nieruchomości na podstawie art. 34 ust. 1 pkt 1 i pkt 2 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (Dz.U. z 2024 r. poz. 1145 z późn. zm.) upłynął 12 czerwca 2025 r. i w tym terminie nie wpłynął żaden wniosek.

Warunkiem przystąpienia do przetargu jest wpłata wadium w wysokości 10% ceny wywoławczej (netto) na konto Urzędu Gminy Starogard Gdański nr 35834000010004684820000005, najpóźniej do dnia 10.12.2025 r. Wadium osoby wygrującej przetarg zalicza się na poczet ceny sprzedaży nieruchomości. Wadium pozostałych uczestników przetargu zostanie zwrócone po zakończeniu przetargu, zgodnie z obowiązującymi przepisami. W przypadku uchylenia się osoby wygrującej przetarg od zawarcia umowy, wadium nie podlega zwrotowi. Za wpłatę wadium uważa się wpływ pieniędzy na konto tut. Urzędu. W dniu przetargu należy okazać ważny dokument potwierdzający tożsamość oraz dowód wpłaty wadium.

Uczestnicy biorą udział w przetargu osobiście lub przez pełnomocnika. W przypadku osób fizycznych pozostających w związku małżeńskim (w tym prowadzących działalność gospodarczą) nieposiadających rozdzielności majątkowej, do dokonywania czynności przetargowych konieczna jest obecność obojga małżonków lub jednego z nich z pełnomocnictwem małżonka zawierającego zgodę na odpłatne nabycie nieruchomości.

Koszty aktu notarialnego oraz opłat sądowych związanych z zawarciem umowy sprzedaży ponosi nabywca. Koszty te nie są ujęte w cenie nabycia prawa własności nieruchomości. Cena nieruchomości nie zawiera kosztów wzniesienia znaków granicznych działek, w granicach których nieruchomość jest położona. Nabywca (w przypadku ewentualnej potrzeby) ponosi również koszty okazania granic. Szczegółowych informacji udziela Wydział Planowania Przestrzennego i Nieruchomości w Urzędzie Gminy Starogard Gdański lub telefonicznie pod nr tel. 58 56 250 67 w. 318 i w. 323.

Jakie emocje i jakie oczekiwania towarzyszą tegorocznej, XIX edycji Konkursu Chopinowskiego? Czy już na tym etapie można wskazać faworytów albo pianistów, którzy mają szansę okazać się czarnym koniem konkursu?

Emocje są naprawdę ogromne i piękne. Cała Warszawa jest już właściwie roz-wibrowana Chopinem; to się czuje na każdym kroku. Odbieramy też mnóstwo sygnałów od miłośników muzyki z całego świata, którzy z niecierpliwością czekają na nasze transmisje. Można więc powiedzieć, że duch konkursowych emocji unosi się już od inauguracji i rozchodzi szeroko, także poza Polskę. Jeśli idzie o poziom, to w tym roku jest on wyjątkowo wysoki, i wiemy to już na podstawie samych zgłoszeń, których napłynęła rekordowa liczba, bo aż 642. Następnie odbył się niezwykle wyrównany i znakomity etap eliminacji, w którym wielu świetnych pianistów, mimo imponujących interpretacji, nie dostało ostatecznie szansy wzięcia udziału w konkursie głównym. To pokazuje, jak trudna była selekcja. Sam konkurs zapowiada się więc niezwykle emocjonująco zarówno pod względem artystycznym, jak i ze względu na wielkie oczekiwania publiczności, jurorów i samych uczestników. Jeśli pyta pani o „czarne konie”, to jako organizatorzy, rzecz jasna, nie możemy nikogo wskazywać. Mogę jednak powiedzieć tyle, że regulamin dopuszcza przystąpienie do Konkursu Chopinowskiego z pominięciem eliminacji tym pianistom, którzy zostali laureatami innych znaczących konkursów muzycznych. I w tej edycji mamy aż dziewiętnaścioro takich artystów, zwycięzców lub zdobywców czołowych miejsc na prestiżowych konkursach. Oni postanowili podjąć kolejne wyzwanie i spróbować swoich sił właśnie w Warszawie, na najważniejszym dla pianistów Konkursie Chopinowskim. Wśród nich są również Polacy.

W naszej trzynastoosobowej reprezentacji jest tylko jedna kobieta. To Zuzanna Sejbuk. Tak, mamy trzynaścioro Polaków i warto podkreślić, że to druga co do wielkości reprezentacja, ex aequo z Japonią. Najliczniejszą grupę stanowią pianiści chińscy, których jest aż 29. To pokazuje, jak ogromnym zainteresowaniem konkurs cieszy się w Azji. Rzeczywiście, wszyscy często pytają, dlaczego w polskiej reprezentacji znalazła się tylko jedna kobieta. Ale tak skonstruowany jest Konkurs Chopinowski: tutaj naprawdę nie patrzy się na płeć uczestnika, lecz wyłącznie na to, jak gra

XIX KONKURS CHOPINOWSKI. LASKOWSKI: WARSZAWA JEST J ROZWIBROWANA CHOPINEM. TO SIĘ CZUJE NA KAŻDYM KROKU

W Warszawie trwa od czwartku kolejna edycja Konkursu Chopinowskiego i już budzi ogromne emocje na całym świecie. – Cała Warszawa jest rozwibrowana Chopinem, a my odbieramy mnóstwo sygnałów od miłośników muzyki z całego świata, którzy z niecierpliwością czekają na nasze transmisje – mówi dr Aleksander Laskowski, rzecznik prasowy Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina

Anita Czupryn



Laskowski: W każdym z uczestników i każdej z uczestniczek możemy zobaczyć indywidualność, osobowość, człowieka, który w sposób poruszający pragnie nam coś przekazać, grając utwory Fryderyka Chopina

na fortepianie. Jurorzy eliminacji zdecydowali, że z Polski zakwalifikowało się trzynastu pianistów, a w tej grupie znalazła się tylko jedna pianistka.

Jak to jest z występem na samym początku konkursu: czy to szansa dla pianisty, czy raczej ryzyko? W piątek jako pierwszy wystąpił Chińczyk, a zaraz po nim, w porannej sesji, zagrali trzej Polacy.

W konkursie ktoś musi zagrać jako pierwszy. Często powtarza się, że presja, jaka spada na tego właśnie uczestnika, jest wyjątkowo silna. Dlatego też od lat funkcjonuje zasada, aby nie zaczynać po prostu od litery „A”, by uniknąć swego rodzaju przekleństwa nazwisk rozpoczynających się na tę literę. Zamiast tego organizowane jest losowanie i tym razem, podczas specjalnej konferencji, która dla nas była już ważnym elementem inauguracji, wylosowano literę „T”. Oczywiście, zagranie jako pierwsza osoba w konkursie wywołuje ogromny stres. Sala jest w pełnym skupieniu, obecne są media i oczywiście jurorzy, którzy posiadają ogromne doświadczenie w tego rodzaju pracy. Potrafią doskonale wyskalować swoje oczekiwania tak, by z równą atencją i uważnością słuchać tych, którzy grają jako pierwsi, jak i tych, którzy występują w środku czy na końcu stawki. Bo również ostatnia pozycja nie należy do najłatwiejszych i tu zadaniem jurorów jest zapewnić sprawiedliwej, wyważonej oceny wszystkim uczestnikom.

W konkursie bierze udział 84 pianistów z 17 krajów. Czy Chopina gra się inaczej w Warszawie, a inaczej w Tokio, Pekinie czy Montrealu?

W dziedzinie muzyki klasycznej kiedyś istniały bardzo odrębne pod względem charakteru szkoły pianistyczne, reprezentatywne dla poszczególnych krajów i tradycji. Dziś jednak świat uległ globalizacji. Z jednej strony artyści koncertują na wszystkich kontynentach, z drugiej, jeszcze na etapie studiów wędrują za wybitnymi profesorami, często traktując naukę u nich jak swoistą pielgrzymkę. A sami profesoro- wie, reprezentujący różne tradycje i szkoły, uczą dziś w przerożnych zakątkach świata. A koniec końców każdy pianista gra Chopina inaczej. I właśnie w tym tkwi piękno Konkursu Chopinowskiego. Możemy posłuchać tak wielu odmiennych osobowości, poznać ich indywidualne interpretacje. Bywa, że dwóch pianistów z Japonii prezentuje zupełnie skrajne podejście do dzieła Fryderyka Chopina, mimo że teoretycz-

nie reprezentują ten sam kraj, a więc i tę samą tradycję. Konkurs jest przede wszystkim świętem młodych, wspaniałych osobowości, które swoimi interpretacjami nadają muzyce nowe sensory i barwy.

Już Pan o tym wspominał, bo też i zwykle w Konkursie Chopinowskim bierze udział wielu pianistów z Azji. Czy można mówić o ich własnym, charakterystycznym stylu, czy to raczej mit, który sami sobie tworzymy?

Nie chciałbym uogólniać. W gronie pianistów z Azji mamy bowiem przedstawicieli bardzo różnych tradycji. Często są to obywatele Chin, Japonii czy Korei, ale wielu z nich studiuje w Europie, pracuje z profesorami wywodzącymi się z odmiennych szkół i czerpie inspirację z różnych środowisk muzycznych. To są bardzo różne osobowości. I właśnie na tym polega piękno Konkursu Chopinowskiego, a szerzej - piękno samej muzyki - że w każdym z uczestników i każdej z uczestniczek możemy zobaczyć indywidualność, osobowość, człowieka, który w sposób poruszający pragnie nam coś przekazać, grając utwory Fryderyka Chopina.

Czy dzisiaj można jeszcze zaskoczyć interpretacją Chopina? Swego czasu taką osobowością był Łotysz Georgijs Osokins. Najpierw budził zachwyt, później kontrowersje. Czy spodziewa się pan, że w tej edycji pojawi się podobny śmiałek?

Zaskoczenie zawsze może się pojawić i właśnie na tym polega piękno sztuki. Z jednej strony mamy świadomość tradycji i własne przyzwyczajenia jako słuchacze, co dotyczy to także jurorów. Ale z drugiej strony pojawia się ktoś, kto odważa się zaproponować nową, czasem bardzo śmiałą interpretację. Bywa też, że tym zaskoczeniem nie jest kontrowersja, lecz po prostu doskonałość i piękno. A to jest taki rodzaj niespodzianki, który natychmiast przemienia się w zachwyt.

Jury Konkursu Chopinowskiego bywa nazywane najbardziej wymagającym klubem świata. Jak wygląda jego skład w tym roku? Jest bardziej tradycjonalistyczne, czy bardziej otwarte na nowe pomysły interpretacyjne?

Myszę, że na to pytanie najlepiej byłoby poprosić o odpowiedź każdego jurora z osobna, ponieważ każdy z nich ma swoje własne oczekiwania i kryteria. W tym roku mamy ponownie prawdziwą plejadę gwiazd muzyki poważnej; wybitne osobowości, wielu laureatów samego Konkursu Chopinowskiego. Po raz pierwszy w historii

przewodniczącym jury został ktoś spoza Polski, czyli Garrick Ohlsson. To wspaniały pianista, laureat Konkursu Chopinowskiego z 1970 roku, który regularnie powraca do Warszawy, koncertuje u nas, a także jak mało kto na świecie angażuje się w popularyzację muzyki Fryderyka Chopina. Nasi jurorzy to bardzo różnicowane osobowości. Ale wszystkie te postaci łączy ogromna wrażliwość, mądrość i doświadczenie. Jestem przekonany, że właśnie dzięki temu dadzą nam ostatecznie werdykt, który będzie sprawiedliwy. Chociaż dyskusjom na pewno nie będzie końca.

Czy młodzi pianiści powinni myśleć o oczekiwaniach jurorów, czy raczej po prostu grać swoje?

Wydaje mi się, że w Konkursie Chopinowskim każdy powinien przede wszystkim skupić się na tym, by jak najpiękniej wykonać muzykę Fryderyka Chopina; tak, jak ją przygotował, tak, jak ją czuje. To jego osobiste odczucie tej muzyki powinno być najważniejsze. A potem pozwolić ponieść się tej niezwykłej chwili, kiedy staje się przed publicznością i jurorami na scenie Filharmonii Narodowej.

Jakie znaczenie ma zwycięstwo w Konkursie Chopinowskim? W jaki sposób fakt, że ktoś został laureatem pierwszej nagrody, przekłada się na jego karierę, a także na jego psychikę i życie osobiste?

Ogromne - mówimy przecież o kontraktach, nagraniach, długofalowym rozwoju kariery artystycznej. O kwestiach psychicznych nie chciałbym mówić jednoznacznie, bo to sprawa bardzo indywidualna. Każdy artysta reaguje inaczej na tak wielki sukces. Proszę jednak pamiętać, że aby wygrać Konkurs Chopinowski, trzeba mieć niezwykłą pokorę; tę, która jest niezbędna, by przez długie lata żmudnie ćwiczyć, dążyć do doskonałości i osiągnąć absolutne mistrzostwo w grze na fortepianie. Jeśli zaś chodzi o samą wagę zwycięstwa, to jest to moment przełomowy. Z dnia na dzień laureat staje się postacią rozpoznawalną na całym świecie i to nie tylko wśród miłośników muzyki klasycznej. To ktoś, komu zapełnia się ka-

W KONKURSIE CHOPINOWSKIM KAŻDY POWINIEN PRZEDE WSZYSTKIM SKUPIĆ SIĘ NA TYM, BY JAK NAJPIĘKNIEJ WYKONAĆ MUZYKĘ FRYDERYKA CHOPINA

lendarz, kto natychmiast po konkursie wyrusza w światowe tournée zorganizowane przez Narodowy Instytut Fryderyka Chopina. To tournée obejmuje największe sale koncertowe globu i pozwala młodemu artyście koncertować w wielu najważniejszych ośrodkach muzycznych.

Tak było chociażby z ubiegłorocznym zwycięzcą, Bruce'em Liu, przed którym otworzyły się drzwi największych sal koncertowych. Ale czy wszyscy zwycięzcy potrafią wykorzystać tę szansę?

Patrząc na historię Konkursu Chopinowskiego i jego laureatów, można powiedzieć, że niemal wszyscy tę szansę potrafili wykorzystać. Proszę przypomnieć sobie choćby takie nazwiska, jak Krystian Zimerman czy Rafał Blechacz. To artyści rozchwytywani na całym świecie; muzycy, którzy zgromadzili wokół siebie nieprzebrane rzesze wielbicieli: wiernych, oddanych, podążających za nimi od wielu lat. Konkurs Chopinowski dał im impuls, który zmienił ich życie, ale oni sami potrafili tę szansę przekształcić w wielką, trwałą karierę.

A czy udział w Konkursie Chopinowskim, nawet bez zwycięstwa, może być początkiem kariery? Czy półfinaliści albo finaliści również mają szansę zrobić wielkie rzeczy?

Nie używałbym w ogóle słowa „przegraný” wobec kogokolwiek, kto bierze udział w Konkursie Chopinowskim. Proszę pamiętać, że za tegorocznymi 84 uczestnikami stoi bardzo długa droga selekcji: najpierw było 642 zgłoszeń, potem 170 osób w eliminacjach, a dopiero z tego grona wybrano finałową osiemdziesiątkę czwórki. Sam fakt, że ktoś znalazł się w tej elitarnej grupie, oznacza, że jury eliminacyjne uznało go za artystę wyjątkowego, godnego zaprezentowania się na Konkursie Cho-

pinowskim. Bardzo często zdarza się zresztą, że pianiści, którzy nie dochodzą do finału, robią później wielkie kariery. Mamy świeży przykład z poprzedniego konkursu - japoński pianista Hayato Sumino, szerzej znany internautom jako Cateen. Doszedł do trzeciego etapu, ale nie znalazł się w gronie laureatów. A mimo to natychmiast po konkursie, gdzie został zauważony, otrzymał znakomitą propozycję kontraktu płytowego, doskonałe oferty koncertowe i błyskawicznie stał się jedną z gwiazd światowej pianistyki. Konkurs Chopinowski niezwykle mu się przysłużył, choć nie zakończył się dla niego nagrodą.

Dlaczego Konkurs Chopinowski pozostaje najważniejszym muzycznym wydarzeniem świata? Co powoduje, że jego ranga jest tak wyjątkowa?

Myślmy z pokorą o randze i roli Konkursu Chopinowskiego na świecie, ale cieszę się, że używa pani właśnie takiego określenia. Jeśli spojrzymy na to, jak genialna jest muzyka Fryderyka Chopina i jak ogromny rezonans ma ona na całym świecie, jeśli uwzględnimy niemal stuletnią tradycję samego Konkursu, wreszcie spojrzymy na listę jego laureatów, a także na emocje, które łączą słuchaczy nie tylko w Polsce i nie tylko w Warszawie, choć tutaj odczuwamy je szczególnie, to widać jasno, że mamy do czynienia z wydarzeniem absolutnie wyjątkowym. Konkurs Chopinowski sprawia, że ludzie z najróżniejszych zakątków globu chcą słuchać Chopina, chcą śledzić te konkursowe emocje, chcą być częścią tego świata. I to wszystko powoduje, że nasz konkurs zajmuje pozycję uprzywilejowaną wydarzenia, które wykracza daleko poza świat muzyki poważnej.

Chciałabym jeszcze zapytać o muzykę Chopina. Czy zauważył pan, że z biegiem lat zmienia się sposób, w jaki ją rozumiemy, na przykład jego nokturny?

Moim zdaniem warto sobie uświadomić, jak bardzo zmienił się sam instrument. Chopin nie rozpoznałby fortepianów, które dziś stoją na estradach - za jego czasów były to zupełnie inne instrumenty, o innym brzmieniu i możliwo-

ściach. Oczywiście zmienia się też nasze odczuwanie - tempo życia jest inne, zmienia się sposób interpretowania muzyki. Wiemy o tym, ponieważ od ponad stu lat mamy nagrania, które pozwalają nam porównywać, jak Chopina grano kiedyś, a jak dziś. A jednak istota jego muzyki pozostaje niezmienna. Brzmienie Chopina wciąż wzrusza, sprawia, że chcemy słuchać jej więcej i więcej. Nowe interpretacje są nam potrzebne, by kolejne pokolenia również chciały sięgać po jego dzieła. I właśnie temu służy Konkurs Chopinowski - by muzyka Chopina była stale obecna, żywa i na nowo odkrywana.

Czy da się dziś wskazać różnicę pokoleniową w interpretacjach? Jak Chopina grają dwudziestolatkowie, a jak czterdziesto czy pięćdziesięciolatkowie?

Uważam, że to zawsze kwestia indywidualna. Niektórzy artyści zmieniają się bardzo wraz z wiekiem i doświadczeniem, inni zachowują młodzieńczy styl przez całe życie. Jak w każdej dziedzinie sztuki, także tu czysto ludzki bagaż doświadczeń wzbogaca człowieka i inaczej wypowiada się poprzez muzykę ktoś, kto ma dwadzieścia lat, a inaczej ktoś, kto ma czterdzieści, sześćdziesiąt czy osiemdziesiąt.

A my, słuchacze, którzy nie jesteśmy profesjonalistami, to jak powinniśmy słuchać tego konkursu? Na co zwracać uwagę, aby w pełni go przeżyć?

Nie mam wątpliwości, że każdy znajdzie własną drogę. Biletów do Filharmonii Naro-

dowej już nie ma, ale mogę zaprosić państwa do licznych stref słuchacza. Można wspólnie oglądać konkurs, na przykład w warszawskiej Hali Koszyki, czy podczas finałów w specjalnej Strefie Melomana przygotowanej przez naszego mecenasa, firmę Orlen. Warto jednak nie tylko słuchać, ale także rozmawiać o Chopinie, dzielić się swoimi emocjami. Ludzie często pytają mnie, czy można mówić o muzyce nie mając profesjonalnego przygotowania. Odpowiadam: oczywiście, że tak. Jeśli tylko umiemy opowiedzieć o swoich emocjach, jeśli chcemy podzielić się tym, co przeżywamy, a nie wyobrażam sobie, by muzyka Chopina, zwłaszcza w czasie konkursu, nie wywoływała głębokich przeżyć, to właśnie jest najlepsza droga, by w pełni nacieszyć się tym wydarzeniem.

CV



FOT. MATPRAS

Aleksander Laskowski

Rzecznik prasowy Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina. Autor książki o tematyce muzycznej oraz wielu przekładów.

REKLAMA 0311243884

Tvoja jesienna kolekcja marzeń
- tylko w
CENTRUM MODY
NADARZYN

Czynne w każdej
NIEDZIELĘ
niektóre sklepy



Aleja Katowicka 51,
Nadarzyn
tel. 22 739 55 00

ZWYCIĘSTWO ALBO ŚMIERĆ – CZY TYLKO POLITYCZNA?

NATO nigdy nie wykazywało większego zainteresowania przyjęciem do sojuszu Ukrainy, podobnie jak Ukraińcy przez większość swojej historii po uzyskaniu niepodległości. W rzeczywistości Ukraina była w dużej mierze neutralna, dopóki Rosja nie najechała Krymu i Donbasu w 2014 r. Nawet po pełnoskalowej inwazji Rosji w 2022 roku wiele państw NATO pozostaje sceptycznych co do przystąpienia Ukrainy do sojuszu. Nie to stoi za agresją Putina wobec Ukrainy.

Bez Ukrainy Rosja nie będzie imperium

W całej swojej historii państwo rosyjskie konsekwentnie prowadziło wojny jako środek utrzymania autokratycznych rządów - co zrozumiał George Kennan, zalecając powstrzymanie ekspansji sowieckiej jako sposób na osłabienie ZSRR. Dotyczyło to zarówno carów, jak i Sowietów, a obecnie Putina. Nawet Boris Jelcyn, którego Zachód gloryfikował, miał nadzieję na odbudowę imperium poprzez Wspólnotę Niepodległych Państw.

Celem Kremla jest całkowita kontrola nad Rosją i podporządkowanie sobie narodu ukraińskiego, a te dwa cele wzajemnie się uzupełniają. Jak kiedyś ostrzegł Zbigniew Brzezinski, doradca prezydenta Jimmy'ego Cartera ds. bezpieczeństwa narodowego: „Bez Ukrainy Rosja przestaje być imperium, ale po podporządkowaniu sobie Ukrainy Rosja automatycznie staje się imperium”.

Podboje w genach Moskwy

Dla Putina niepodległość i demokracja Ukrainy stanowią zagrożenie egzystencjalne. Wolna i odnosząca sukcesy Ukraina obnaża kłamstwo leżące u podstaw jego reżimu, a mianowicie, że Rosja może być stabilna tylko pod scentralizowaną autorytarną kontrolą. Jeśli Ukraińcy mogą wybrać inną drogę - demokratyczną i prosperującą - Rosjanie mogą pewnego dnia zażądać tego samego.

Manipulowanie historią przez Putina ma zatem na celu zaprzeczenie istnieniu Ukrainy. Kluczowym elementem tej błędnej interpretacji jest mit o pochodzeniu Księstwa Moskiewskiego. Powstanie Moskwy w XV wieku opierało się na kłamstwie, że jest ona spad-

Władimir Putin, idąc na wojnę z Ukrainą, podcinając gałąź naftowo-gazową, na której Moskwa siedzi od czasów Breżniewa, uzależniając się od pomocy Chin i takich rozbójniczych reżimów, jak Korea Północna czy Iran, wszedł na ścieżkę, z której nie ma powrotu

Grzegorz Kuczyński



Putin rozumie, że jego przetrwanie polityczne jest coraz bardziej uzależnione od ciągłej konfrontacji z Zachodem

kobierczynią Rusi Kijowskiej. W rzeczywistości Ruś była średniowiecznym państwem skupionym wokół Kijowa, które upadło pod naporem najazdów mongolskich na długo przed pojawieniem się Moskwy jako głównego państwa przyszłego imperium rosyjskiego.

Władcy moskiewscy przepisali historię, aby przejąć to dziedzictwo, wykorzystując mit do uzasadnienia podbojów. Putin powtarza dziś tę samą fikcję, aby zaprzeczyć suwerenności Ukrainy i legitymizować swoją wojnę.

Putina obsesja na punkcie kolorowych rewolucji

Korzenie obsesji Putina na punkcie Ukrainy sięgają co najmniej 2004 roku, kiedy to Ukraina stanęła przed decydującą walką o fotel prezydenta. Prezydent Leonid Kuczma, po-

zbawiony możliwości ubiegania się o trzecią kadencję, szukał lojalnym następcy i poparł premiera Wiktora Janukowycza, barona z Doniecka. Reformator Wiktor Juszczenko, były szef baku centralnego i premier przez krótki czas, oferował coś zupełnie przeciwnego: Ukrainę zorientowaną na Europę i demokrację.

Pomarańczowa rewolucja z 2004 roku pokrzyżowała plany Kremla. Masowe protesty przeciwko fałszerstwu wyborczym doprowadziły Juszczenkę do władzy pomimo silnej ingerencji Moskwy. Było to coś więcej niż porażka preferowanego przez Rosję kandydata - było to upokorzenie dla Putina i bezpośrednie wyzwanie dla jego światopoglądu.

Od tego momentu polityka zagraniczna Moskwy stała się bardziej agresywna. Kreml uznał demokrację za zagrożenie,

wielkorosyjski nacjonalizm za konieczność, a agresję militarną za narzędzie przetrwania. Putin zaczął ostro krytykować tak zwane „kolorowe rewolucje”, widząc w nich nie tylko bunt Ukrainy, ale także niebezpieczny wzór, który Rosjanie sami mogliby kiedyś naśladować.

Lekcje z Gruzji i Libii

W 2008 r. Gruzja - kilka lat wcześniej biedna i skorumpowana republika postsowiecka, która pod rządami Saakaszwilego realizowała reformy pokazujące całą przestrzeń b. Sojuza, że jest inna, lepsza droga, niż autokratyczny model rosyjski - była pierwszym celem imperialnego ataku Putina. W tym samym roku Putin stwierdził przed ówczesnym prezydentem USA George'em W. Bushem, że Ukraina nie jest prawdziwym krajem.

Kolejne kluczowe wydarzenia miały miejsce w 2011 r. Pełniąc funkcję premiera, Putin obserwował interwencję NATO w Libii i śmierć Muammara Kaddafiego. Koniec dyktatora był traumą dla Putina, który umocnił się w przekonaniu, że silni przywódcy, którzy idą na kompromis z Zachodem, przypięczętowują swój los. Jego zdaniem błędem Kaddafiego nie była tyrania, ale późniejsze próby dogadania się z Zachodem.

Napaść na Ukrainę

Ogromne protesty uliczne w Moskwie w latach 2011-2012, wywołane gniewem spowodowanym oszustwami wyborczymi, tylko wzmocniły ten strach, przekonując Putina, że ruchy demokratyczne mogą pewnego dnia zagrozić jego władzy w Rosji. Więc na Rewolucję Godności w Kijowie w 2014 roku zareagował aneksją Krymu i okupacją części Donbasu.

Pełnoskalowa inwazja na nieposłuszną Ukrainę 24 lutego 2022 roku to dowód na to, że Putin uznał, iż kończy mu się czas na podbój Ukrainy. Jednak dziś wydaje się wierzyć, że czas znów jest po jego stronie - nie tylko na polu bitwy, ale także w samym życiu. W Pekinie, podczas rozmowy na temat przeszczepów organów i biotechnologii z chińskim przywódcą Xi Jinpingiem, Putin zastanawiał się nad możliwością dożycia 150 lat. Przekonany, że ma jeszcze przed sobą kilka lat życia, może postrzegać Ukrainę nie jako przelotną grę, ale jako pokoleniowe wyzwanie, które należy zrealizować, aby przywrócić imperium.

Kto żyje z wojny?

Jednak Putin stoi obecnie przed wyzwaniem wewnętrznym: rosnącym niezadowoleniem Rosjan. Chociaż wielu czerpie zyski z wojny, a z militarzowanej gospodarki Rosji wyłania się nawet nowa klasa średnia, większość przeciętnych Rosjan doświadcza spadku po-

ziomu życia z powodu zaniedbań Putina w zakresie gospodarki konsumenckiej. Co gorsza, nawet gospodarka militarzowana przestała rosnać, a deficyt i inflacja rosną, a Rosja wkracza w okres stagflacji - o czym świadczy choćby nowy budżet państwa.

Putin rozumie, że jego przetrwanie polityczne jest coraz bardziej uzależnione od ciągłej konfrontacji z Zachodem. A jeśli wiele elit czerpie zyski z wojny, dlaczego miałyby chcieć jej zakończenia? Pozwolenie na kontynuację wojny utrzymuje Rosję w stanie ciągłej mobilizacji, w którym sprzeciw jest tłumiony, a rywale zabijani. Rozbuchany kompleks militarno-przemysłowy podtrzymuje sieci patronatu dla lojalnych elit.

Jednocześnie wojna wzmacnia ideologiczną narrację Putina o odbudowie rosyjskiego imperium i konfrontacji z Zachodem, który, jak twierdzi, dąży do jego powstrzymania. Dopóki imperium nie zostanie pokonane, Putin będzie wracał po więcej, a jego apetyt na eskalację będzie rósł wraz z osłabieniem gospodarki i zagrożeniem dla jego legitymizacji i autorytetu.

Zwycięstwo albo śmierć (tylko polityczna?)

Dlatego Putin nie chce pokonu i od początku sabotuje wysiłki mediacyjne Trumpa. Interesuje go tylko pełne zwycięstwo, a więc uznana przez Kijów i świat aneksja części Ukrainy oraz zainstalowanie w zde-militaryzowanej pozostałej części tego państwa prorosyjskiego reżimu. Nic innego go nie interesuje. Albo taki pokój, albo wojna aż osiągnie te cele.

Wojna z Ukrainą to wojna o przetrwanie Putina. Jeśli nie osiągnie wspomnianych celów, sam zostanie zmieciony z Kremla. Prowadząc od wielu lat ekspansywną politykę, czyniąc z Zachodu śmiertelnego wroga, indoktrynując Rosjan niczym kiedyś Hitler Niemców (a warto pamiętać, że Putin rządził już 25 lat, podczas gdy Hitler zaczął II wojnę światową po zaledwie sześciu latach rządów), rosyjski dyktator stworzył bestię - w postaci wszechmocnej bezpieki, licznej armii, elit żyjących z wojny, wreszcie potencjalnych setek tysięcy weteranów wracających z frontu i żądających więcej. Ta bestia musi wciąż kąsać, musi atakować. Inaczej pożre samego Putina, gdy tylko wyczuje jego słabość.

MOTO
BOHATEROWIE
OTOMOTO

NFM
NIVETTE FLEET MANAGEMENT

NIVETTE-FLEET.OTOMOTO.PL

Nivette Fleet Management to firma działająca w obszarze kompleksowego zarządzania flotami, obejmującego finansowanie i zakup pojazdów, serwis, ubezpieczenia, wynajem długoterminowy oraz remarketing.

Ważną część portfolio stanowią auta poleasingowe - sprawdzone, z pełną historią i oferowane na atrakcyjnych warunkach.

Grupa NFM, w strukturach której znajdują się marki Hertz, Thrifty i Dollar, łączy doświadczenie międzynarodowe z lokalnym zapleczem i polskim kapitałem.

Jako pierwszy człowiek na świecie wszedł na Mount Everest i zjechał z niego na nartach bez tlenu. – Mam dystans do tego, co robię, nie zakładam, że to jest najważniejsze na świecie, to pasja. Fajnie ją mieć. Lubię to robić, ale nie za wszelką cenę – mówi Andrzej Bargiel

Jacek Żukowski

ANDRZEJ BARGIEL: NIE LUBIĘ RYZYKA I UNIKAM GO

Trudniej jest wejść na Mount Everest, czy zjechać z niego?

Ciężko powiedzieć. To jest w całości duży performance. Jeżeli da się wejść, to zakładasz, że zjazd jest możliwy, a jeśli się nie da wejść, to zakładasz, że jest zbyt niebezpieczne. Wejście jest elementem pośrednim zjazdu. Ja się lepiej czuję na nartach, lepiej mi to wychodzi, jest bardziej efektywne i przyjemne. Trudno więc rozdzielać te dwie rzeczy, bo nie mamy opcji, że ktoś nas wyrzuci na szczycie z helikoptera. Na tym polega narciarski alpinizm, że aby zjechać, trzeba wejść na szczyt.

Pan sobie utrudnił zadanie, zdobywając szczyt i zjeżdżając z niego bez wspomaganie tlenem. Dałoby się to zrobić łatwiej – z butlą tlenową.

Nigdy nie korzystałem z tlenu. Zakładam, że skoro jestem sportowcem i tyle lat trenuję, to organizm sobie z tym radzi i mam kontrolę. Jeżeli tlen się skończy w butli, to jest kłopot, a tak wiem, na ile mogę liczyć. Zawsze tak robiłem, mam większe zrozumienie swojego organizmu i dla mnie to naturalna forma aktywności.

To było trzecie podejście pod Everest...

Tak. Pierwsze pozwolenie na zdobywanie Everestu miałem 13 lat temu, kupione przez Artura Hajzera. A teraz było już czwarte pozwolenie... Raz uniemożliwiła wejście śnieżnica. Za drugim razem wisił lodowy serak, był bardzo niepokojący i ryzykowne było przechodzenie pod nim. Za trzecim razem także przeszkodziła niesprzyjająca pogoda.

W historii alpinizmu nie było człowieka, który zjechałby na nartach z Mount Everestu bez tlenu. Dlaczego?

Sam alpinizm, taki klasyczny, był zawsze bardziej popularny. Sprzęt był ograniczeniem, ale zjazdy były. Davo Karnicar dokonał takiego zjazdu w 2000 roku, tyle że z tlenem, z pomocą Szerpów, od szczytu do bazy. Z kolei na drugą stronę góry zjeżdżał Hans Kammerlander, częściowo bez tlenu, częściowo z odpinaniem nart. Nie miał jednak szczęścia do warunków. A więc próby były, pewnie zresztą jeszcze inne, ale te były najbardziej wartościowe.

Teraz jednak pan dzierży palmę pierwszeństwa.

To nie było celem samym w sobie. Było to moje marzenie, by zjechać, jednak nigdy nie było moim celem to, by ktoś mówił, że jestem pierwszy.

Wcześniej pan dokonał takiej sztuki na K2.

Na pewno doświadczenie jest kluczowe, by być samodzielnym w górach. A ja w nich jestem tyle lat, że to jest moje naturalne środowisko. Mam zrozumienie swojego ciała, dużych przestrzeni, trudnego lodowca. To superwyzwanie, by robić to w bezpieczny sposób. Z Przełęczy Południowej wej-

ście na szczyt i zejście do bazy zajęło 16 godzin. Trzeba było dojść do obozu II, potem do Przełęczy Południowej. Było mnóstwo śniegu i to samo w sobie było wyzwaniem.

Ile trwał sam zjazd?

Byliśmy późno na szczycie, było to jednak planowane. By zjechać przez lodowiec Khumbu, musiałem to robić rano, przed godz. 9, bo potem się robi ciepło, lodowiec się zalamuje, spadają na niego lawiny z ramienia Everestu i ze ścian Nuptse. To bardzo niebezpieczne. Jedyna możliwość, by zjechać, była taka, by być w tym miejscu bardzo

wcześniej. Ile trwał sam zjazd? Do obozu drugiego od godz. 15 do zmroku, czyli ponad 3 godziny, a potem do bazy około godziny, może godziny i piętnastu minut. Czas tu nie jest kluczowy, liczy się strategia.

Jest miejsce na improwizację, czy musi pan się trzymać planu?

Musimy wymyślić, jak linia zjazdu będzie przebiegała, bo bez tego ciężko to robić. Tylko Karnicar przejechał lodowiec Khumbu 25 lat temu. Teraz lodowiec się degraduje i wygląda inaczej niż wtedy. To labirynt, który musisz pokonać, zrozumieć, gdzie jest to możliwe. Nie ma mowy o spontanie, trzeba znaleźć nitkę, która przeprowadzi cię przez lodowiec.

To godziny żmudnych analiz?

Tak, aklimatyzacja, chodzenie tam i z powrotem, szukanie rozwiązań. Nie da się tego zawsze robić, są opady śniegu, zagrożenia lawinowe. Trzeba poświęcić temu wiele czasu i uwagi. I próby, które były wcześniej, nic nie wnoszą, bo lodowiec zmienia się bardzo na przestrzeni lat, ale i miesięcy.

Cieszył się pan samą jazdą czy chciał pokonać jak najszybciej odległość, by zrealizować marzenie?

Były momenty fajnych warunków, to otoczenie jest wyjątkowe i cieszysz się z tego, że możesz jeździć na takich wysokościach na nartach. To jest przywilej, że dajesz radę, to daje dużą satysfakcję.

Ile trwały całe przygotowania?

To wieloletni proces budowania doświadczenia. Przed każdą z takich wypraw przez kilka miesięcy robię mikrocykl, który przygotowuje mnie bezpośrednio do wyprawy. Muszę czuć się komfortowo w eksponowanym terenie narciarskim, muszę „czytać” warunki. By to było możliwe, musisz permanentnie spędzać czas w górach, by tego nie stracić. Nie jest tak, że robisz to, zrobisz sobie przerwę na pięć lat i to zostaje.

Ile czasu w roku spędza pan w górach, na nartach, na wspinaczce?

Nie liczę, nie robię statystyk. Mieszkam w górach, na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego. Jestem w górach często, bo poruszam się po nich na co dzień i trenuję.

Cieszy pana „normalna” jazda na nartach czy tylko ekstremalna?

Nie jest tak, że muszę mieć jakiś challenge. Lubię pojeździć na nartach po stoku, jak są dobre warunki, np. na Kasprowym Wierchu. Jeżeli mam tylko możliwość, staram się korzystać.

To pana matczynik, pana góra?

Mieszkam w jej otoczeniu, jest najbardziej dostępna i nawet jak mam jakieś obowiązki, to

jestem w stanie wyskoczyć na godzinę, dwie, trzy. To jest wygodne, że nie muszę dojeżdżać i tracić na to czasu. Zamiast na bieżnię, siłownię, idę się przebiec na Kasprowy albo na narty. To jest dobra forma treningu.

Na górę pan wbiega?

Jeżdżę kolejką, ale często wchodzę, a więc poruszam się na skiturach.

Kto pana nauczył jeździć na nartach?

Nikt mnie nie uczył. W dzieciństwie uczyliśmy się sami, była nas banda dzieciaków, która ubijała skocznię, nosiła narty na plecach, to była moja pierwsza nauka narciarstwa. Nie miałem nigdy lekcji narciarstwa.

A skąd się wzięło umiłowanie rzeczy ekstremalnych?

Tatry pokazał mi mój starszy brat Grzegorz, który jest ratownikiem i przewodnikiem. Dzięki niemu miałem szansę poznać góry od bardziej technicznej strony – wspinaczki czy narciarstwa wysokogórskiego.

Ma pan dziesięcioro rodzeństwa. Umilowanie do rzeczy ekstremalnych ma tylko pan, czy również ktoś z rodzeństwa?

Rodzeństwo lubi sport, choć nie wszyscy to robią na zawodowym poziomie. Moje siostry miały większy talent do sportu niż mężczyźni w naszej rodzinie, ale nigdy żadna z siostr nie miała szansy, by to robić na profesjonalnym poziomie. Starszy brat jest świetnym wspinaczem i narciarzem, a więc on ten zaawansowany sport zapoczątkował w naszej rodzinie. Młodszy brat trenuje dla przyjemności, choć miał epizody, startował w zawodach. Siostra jeździła na rowerze półzawodowo.

Ale słowem „zawodowiec” można określić tylko pana.

W rodzinie, czy jeśli chodzi o dziadków, czy rodziców, nie mamy profesjonalistów. A czy ja jestem zawodowcem? Najbardziej poważnie się tym zajmuję.

Pracował pan w TOPR-ze, nadal pan jest z nim związany?

Jestem ochotnikiem. Nie mam za dużo na to czasu, a chcę mieć. Przez to, że zyskałem w pewnym sensie popularność, to staram się ją wykorzystywać czasem do społecznych rzeczy i czasu wolnego mam coraz mniej. Jestem przewodnikiem, ale też to robię społecznie, angażując się w jakieś inicjatywy.

Zaczął się od nart, a potem doszła wspinaczka?

Tak, wspinaczkę pokazał mi mój brat i rozwijałem się w tym przez lata. Połączenie narciarstwa ze wspinaczką zaowocowało startem w zawodach przez prawie 10 lat, byłem w reprezentacji Polski, z sukcesami udawało się startować w Pucha-



Andrzej Bargiel jako pierwszy zjechał na nartach z Mount Everestu bez wspomaganie tlenem

FOT. BARTŁOMIEJ BARGIEL

rach Świata, w młodzieżowych kategoriach czy mistrzostwach świata. To był ważny okres, dzięki któremu mogę teraz poruszać się w wysokich górach.

Znalazł pan idealne połączenie. Lubię to, bo to daje wolność, niezależność, nie jesteś związany z żadną infrastrukturą. Można coś kreować.

Ma pan 37 lat, żonę, dwoje dzieci. Teraz ma pan inne podejście do ryzykownych rzeczy? Ma pan więcej do stracenia, czy to wpływa na psychikę? Zawsze ceniłem swoje zdrowie i życie, niezależnie od momentu, w jakim jestem. Nie lubię ryzyka i unikam go. Staram się robić wszystko profesjonalnie, angażować osoby, support bezpieczeństwa, zabezpieczać wyprawy na tyle, na ile to możliwe i kiedy czujemy, że to działa, to robimy je, a jeżeli nie czujemy, to odwracamy się na pięcie i idziemy grzecznie do domu. Mam dystans do tego, co robię, nie zakładam, że to jest najważniejsze na świecie, to pasja. Fajnie ją mieć. Daje dużo radości w życiu, oddech w różnych momentach. Lubię to robić, ale nie za wszelką cenę, by mieć satysfakcję. To jest najbardziej kluczowe. Z punktu widzenia rodziny to jest trudne, że cię nie ma w domu.

Kiedy mówi pan, że nie lubi ryzyka, dla przeciętnego człowieka to brzmi dziwnie. Nikt, kto nie lubi ryzyka, nie zjeżdża z Mount Everestu i K2. Trzeba rozumieć mocno to zagadnienie, mieć świadomość, jak to działa, bo hasłowo to działa tak, jakby ktoś leciał na księżyc. Nie kojarzy się z wyjściem po bułki.

Jak żona reaguje na pańską pasję? Mówi, Andrzej, daj sobie spokój, czy wspiera i popycha do kolejnych wyzwań?



FOT. PASANG RINZEE

Nie robi statystyk, nie liczy zjazdów. Mieszka w górach, na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego

Nie popycha, nie jest to łatwe dla niej. Żona większy challenge miała z ogarnianiem dzieci podczas mojej nieobecności niż ja, zjeżdżając z Everestu. Jestem wdzięczny, że pozwoliła mi pojechać i próbować zrealizować marzenia.

Marzy pan, by kiedyś z dziećmi zjechać z góry, może nie z Everestu, ale z jakiejś bardziej dostępnej? Fajnie byłoby zarazić je pasją do sportu i narciarstwa, bo to fajna forma spędzania wolnego czasu. Wyrwać się z pracy, miasta, spędzać czas na świeżym powietrzu. Mam jednak słabą zimę ostatnio w Polsce, a bez tego narciarstwo może być trudne.

Żona udaje się z panem czasem na mniej ekstremalne wyprawy? Jeździmy na nartach, robimy wycieczki, zabieramy dzieciaki. Lubimy to robić, nie jest tak, że zawsze trzeba zjeżdżać z Mount Everestu. W użytku są przyczepki, nosidła.

Kto panu panu towarzyszył na szczycie Mount Everestu? Dawa Szerpa. Mieliśmy innych ludzi od bezpieczeństwa. Kierownikiem był Jan Gąsienica-Roj, przewodnik międzynarodowy, prezes Polskiego Stowarzyszenia Przewodników Wysokogórskich i zawodowy ratownik TOPR. Realizowaliśmy film, nasi operatorzy mieli zabezpieczenie. Nagrywali dużo ujęć z drona, to najbardziej bezpieczna forma, by nie wysłać ludzi na takie wysokości.

Myśli pan, by napisać książkę? Wydaje mi się, że to nie jest jeszcze najlepszy moment. Staram się zajmować tym, na czym się znam najlepiej. Może kiedyś przyjdzie czas.

Myśli pan o kolejnych wyzwaniach? Po powrocie chcę odpocząć i złapać dystans. Nie mam ochoty myśleć o kolejnych celach. Mam sporo do zrobienia w domu i chcę normalnie, spokojnie żyć i zająć się bieżącymi rzeczami.



FOT. PASANG RINZEE

Andrzej Bargiel: Jestem wdzięczny mojej żonie, że pozwoliła mi pojechać i próbować zrealizować moje marzenia

1000 KILOMETRÓW ROWEREM PRZEZ ALPY

Ponad tysiąc kilometrów rowerem po wysokich Alpach, cztery i pół dnia jazdy non stop, bez wsparcia, niemal bez snu

Artur Bogacki

W ciągu ostatnich piętnastu lat startowałem ponad trzydzieści razy w różnych wyścigach wieloetapowych MTB na świecie, między innymi Yak Attack w Himalajach, Crocodile Trophy w Australii, Brasil Ride w Ameryce Południowej czy legendarnym Absa Cape Epic w RPA. Od kilku lat ściga się również w bikepackingowych zawodach ultra (jazda bez wsparcia organizatorów), zwyciężyłem w pierwszej edycji kultowej już Wisły200, ma na koncie wygrane w Carpatia Divide, SuperCarpatii, Montenegro Mountain Madness w Czarnogórze, Gran Guanche Trail na Wyspach Kanaryjskich, ukończyłem też na podium bardzo trudny Trans Balkan Race.

- Mam predyspozycję do sportów wytrzymałościowych. Wybieram zawody, które są dla mnie ciekawe i emocjonujące. Lubię jeździć w górach. Przez wiele lat startowałem w jednodniowych wyścigach, potem w etapówkach MTB. Ostatnio dołożyłem bikepackingowe górskie zawody ultra, to mnie teraz najbardziej kręci - mówi Zbigniew Mossoczy.

Alps Divide to prawdziwe wyzwanie. Do pokonania było 1050 kilometrów z francuskiego Menton na Lazurowym Wybrzeżu nad Morzem Śródziemnym - głównie przez Francję, częściowo przed Włochy i Szwajcarię - do Thonon-les-Bains nad Jeziorem Genewskim. Jazda była przez wysokie Alpy, z łącznym przewyższeniem ponad 30 000 metrów, z wymagającymi podjazdami o długości 20-40 kilometrów. Najwyższy punkt trasy to Col de Sommeiller - 3000 m n.p.m. Rower górski - ważący z ekwipunkiem ponad 20 kg - trzeba wtedy pchać pod górę lub wręcz nieść.

Cztery i pół dnia jazdy, tylko trzy godziny snu Mossoczy trasę pokonał w cztery dni 11 godzin i 49 min. Drugi na mecie Brytyjczyk Josh Ibbett stracił do niego 1 godzinę 53 min, a kolejny zawodnik, Belg Benjamin Schmetz - 9 godz. i 5 min. Wyścig ukończyło 55 osób - nieco ponad połowa zgłoszonych, niektórzy jechali nawet 9

dni. - Przed startem miałem dylenat, czy jechać ciągiem z małą ilością snu, czy spać każdej nocy i jechać szybciej, bardziej wypoczęty, głównie w dzień, podziwiając wspaniałe widoki - opisuje Mossoczy. - Pod koniec drugiego dnia, na pierwszym chek-poincie, byłem drugi, z niewielką stratą do lidera. Wiele osób jadących na początku przede mną już pierwszej nocy zatrzymało się, aby przespać się kilka godzin. Odezwiała się wtedy chęć rywalizacji, miałem szansę na dobry wynik. Zacząłem się ścigać. Drugiej nocy stanąłem tylko raz, na 15-minutową drzemkę, żeby zresetować głowę. Rano sprawdziłem na trackingu swoją pozycję - jechałem pierwszy, godzinę przed Joshem, który zatrzymał się gdzieś tej nocy, aby przespać się i odpocząć. Byłem bardzo zadowolony. Mossoczy korzystał z tego, że jego organizm toleruje bardzo długą jazdę, nawet bez snu. Aż trudno uwierzyć, że pierwszy w miarę normalny odpoczynek miał dopiero trzeciej nocy, po ponad 60 godzinach i prawie 700 kilometrach jazdy. Spał trzy godziny w schronisku.

Taki rajd oczywiście nie jest dla każdego miłośnika roweru. Ważne jest nie tylko przygotowanie fizyczne, ale również mocna psychika i doświadczenie. Trzeba wiedzieć, jak rozłożyć siły, jaki sprzęt i ubrania zabrać, jak zaplanować przejazd i zaopatrzenie w jedzenie i wodę.

- Jedziemy bez żadnego wsparcia od organizatorów, tylko według tracka wgranego do urządzenia GPS - mówi Zbigniew Mossoczy. - Nie jest to taki typowy wyścig, że w dzień jedziesz, w nocy śpisz, a wszystkiego pilnują organizatorzy. Trzeba o to zadbać samemu. To ogromna satysfakcja dać radę to wszystko ogarnąć i jeszcze walczyć o zwycięstwo. Prawdziwa przygoda. Plusem jest czas spędzony na rowerze, jazda w wysokogórskim terenie z pięknymi widokami. Mossoczy podkreśla, że bardzo ważne jest też przygotowanie mentalne: - Im dłużej się jedzie, tym trudniej utrzymać motywację. Pogoda w górach jest zmienna i daje w kość, pada deszcz, jest zimno. Z tego powodu wiele osób zrezygnowało. Nie dojechali do mety, choć fizycznie pewnie daliby radę.



FOT. @BICYCLE FACTORY

Zbigniew Mossoczy ma 52 lata

ICH WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ DO AUGUSTOWA

30 lat temu, latem 1995 roku, spotkali się po raz pierwszy.

Ona – młodzianka, niespełna 16-letnia uczennica liceum.

On – uczeń warszawskiego technikum, kilka lat starszy, lubiący dobrą muzykę z mocniejszym gitarowym brzmieniem. To właśnie w Augustowie, wśród szumu lasów nad Neckiem, zaczęła się historia Aleksandry i Grzegorza Foryś. Historia, która trwa do dziś, a której ważnym bohaterem pozostaje Augustów i Suwalszczyzna

Anna Gryza-Aneszko

Zaczął się jak w filmie. Ona rodowita warszawianka, on mieszkaniec Otwocka. Przez lata nie wiedzieli o swoim istnieniu, mimo że kiedy byli nastolatkami, ich szkoły średnie dzieliło zaledwie 5 kilometrów. Ale to dopiero 250 km od domu, w pięknym Augustowie, ich spojrzenia spotkały się po raz pierwszy. Dziś nadal patrzą w swoje oczy i w tym samym kierunku, już jako małżeństwo i szczęśliwi rodzice trzech wspaniałych córek.

Poznali się w Augustowie i tam jej się oświadczył

- Poznaliśmy się latem 1995 roku. Pamiętam do dziś to nasze pierwsze, elektryzujące spojrzenie. Ale oczywiście wtedy nawet się do siebie nie odezwaliśmy - śmieje się Aleksandra, wspominając pierwsze spotkanie z przyszłym mężem. - Mieszkaliśmy w ośrodku WSK Augustów Klonownica. Spotykaliśmy się w świetlicy, mijaliśmy się w ciągu dnia. Dopiero na wspólnym ognisku w końcu ośmieliliśmy się ze sobą porozmawiać... I tak to się zaczęło.

Wakacje minęły szybko, ale zakochani nastolatki nie zostawili miłości w Augustowie.

- Ona przyjechała z nami do Warszawy. Teraz są telefonami komórkowe, ale te 30 lat temu tylko ja miałam w domu telefon, a mój Grześ nie miał. Ale udało mu się do mnie zadzwonić, bo jeszcze przed pożegnaniem w Augustowie Grześ poprosił mnie o numer. Umówiliśmy się w Warszawie - Aleksandra uśmiecha się do wspomnień.

Młodzi randkowali, poznawali swoich znajomych.

- Moja najukochańsza mama powtarzała: „Córeczko, pamiętaj, musisz skończyć szkołę”. Bo rzeczywiście szłam dopiero do drugiej klasy szkoły średniej. W 2002 r. mój mąż mi się nieoficjalnie oświadczył. Oczywiście w Augustowie! - podkreśla Ola. - A oficjalne zaręczyny zaaranżowaliśmy rok później u naszych znajomych na Suwalszczyźnie.

Słowa mamy tak zapadły Aleksandrze w pamięć, że skończyła nie tylko liceum, ale i dwa kierunki studiów, a potem jeszcze studia doktoranckie, a ślubu jak nie było, tak nie było.

- Ale mama Oli, czyli przyszła Babcia, tak bardzo nie mogła doczekać się upragnionych wnuków, że - jakby to ładnie ująć - motywowała mnie do działania - śmieje się Grześ. - Ola wykladała na uczelni, czekałam na nią z jej mamą u nich w domu. A tego dnia przyszedł akurat do nich sympatyczny ksiądz „po koleędzie”. Byłem tylko ja, mama Oli i ksiądz Mariusz. Wysłuchał całej opowieści i podsumował: „już ja ich pożenie!”. Następnego dnia przyszedłem do Oleńki już z wypisanymi terminami dostępnymi



Rodzina Forysiów wszystkie wakacje i ważne chwile spędza na Suwalszczyźnie

w kościele. Pobraliśmy się pół roku później.

Podróż poślubna do grodu nad Netą

Po 10 latach znajomości, 10 września 2005 r., Grzegorz i Aleksandra powiedzieli sobie sakramentalne „tak”. Początkowo planowali, że wesele zorganizują w Augustowie, jednak ze względów logistycznych i sporej odległości, jaką musieliby pokonać goście, zrezygnowali z tego pomysłu i wzięli ślub w Warszawie.

- Ale na stołach weselnych były podlaskie sękacze, wędlina ze sklepu litewskiego z Augustowa oraz woda mineralna Augustowianka - podkreślają. - No i pierwszym utworem granym na naszym weselu była „Beata z Albatrosa”, jednakże w wersji delikatnie zmienionej przez Grzesia: „7 dziewcząt z Albatrosa tyś jedyna/ A na imię miałaś właśnie Oleńka/ Dziś mam Ciebie...”. Ina pierwszą tydzień podróży poślubnej oczywiście wybraliśmy się do grodu nad Netą...

To właśnie w Augustowie odbyła się ich ślubna sesja fotograficzna.

- W naszych ślubnych strojach pozowaliśmy w miejscach

bliskich naszym sercom: w WSK Klonownica, koło restauracji Rospuda, nad Neckiem koło Hotelu Hetman, na Gołej Zośce, na plaży Borki czy w centrum nad Netą - wspominają.

Najstarszej córce dali drugie imię Beata

Mieszkają w Warszawie. Ona jest naukowcem, statystykiem, wykładowcą akademickim, ekspertem Akademii Data Science, skończyła studia doktoranckie na SGH. On skończył Politechnikę Warszawską i zawodowo zajmuje się inżynierią drogową. Uzupełniają się w domowych obowiązkach, tworząc zgrany duet. Ich dom jest pełen życia - i to dosłownie. Mają bowiem trzy córki, każda jest wyjątkowa i idąca własną drogą. Najstarsza, Wiktorija, nosi drugie imię Beata.

- Gdy ktoś nas pyta, po kim to imię, bo przecież tradycją jest, że drugie imię nadaje się zwykle po kimś bliskim, ważnym, odpowiadamy, że na cześć Beaty z Albatrosa, bo to prawda. Zazwyczaj spotykamy się z lekkim uśmiechem, czasem niedowierzaniem, choć dla najbliższej rodziny i przyjaciół jest to sprawa naturalna. Wszy-

scy bowiem wiedzą, że mamy świra na punkcie Augustowa, a teraz już całej Suwalszczyzny i Sejneńszczyzny - przyznaje Aleksandra.

Pierworodna córka to niezwykły umysł, mistrzyni matematyki, biologii i... brydża sportowego.

- W ubiegłym roku Wiktorija (mając 16 lat) zdobyła brązowy medal na Mistrzostwach Świata w brydżu sportowym i złoty medal na Mistrzostwach Polski Kobiet. Z tymi cennymi trofeami nie pojechała do Warszawy, choć przez nią przejeżdżała, ale właśnie do Augustowa, bo tam byliśmy całą rodziną na wakacjach. Także na augustowskiej ziemi powitaliśmy naszą medalistkę - podkreśla dumna mama.

Teraz najstarsza córka państwa Foryś rozpoczyna studia medyczne w stolicy, spełniając swoje największe marzenie.

- Nasza druga córka, Emilka Władysława, nosząca imię po prababci, w tym roku świetnie zdała egzaminy ósmoklasisty i dostała się do elitarnego warszawskiego liceum im. S. Staszica. Nie miała lekko, ale pracą i wytrwałością pokazała, że nazwisko Foryś pojawi się jeszcze w Staszicu. Wikusia

przecież w tym roku ukończyła z wyróżnieniem to właśnie liceum.

- A nasza najmłodsza, Natalka Leonia, nosząca drugie imię po dziadku, miała w tym roku Pierwszą Komunię Świętą. Natalka to tegoroczna brązowa medalistka Mistrzostw Polski w brydżu sportowym. I jak pani myśli, gdzie zrobiliśmy Natalce pamiątkową sesję? Oczywiście, że tak, w naszym Augustowie! - uśmiecha się Aleksandra.

Tu spędzają sylwestra i wszystkie wakacje

Choć na co dzień rodzina Forysiów żyje w rytmie wielkiego miasta, to sercem wciąż jest na Augustowszczyźnie i Suwalszczyźnie. Kilkanaście razy w roku pakują bagaże do samochodu i ruszają w stronę ukochanych jezior, lasów i polnych dróg.

- Niektórzy miejscowi mówią: Państwo to znacie tutaj każdą bruzdę ziemi. My tyłu ludzi nie znamy co wy. Bo my rzeczywiście dobrze znamy i Augustów, i Wiżajny, i Suwałki, i Sejny. Teraz częściej jesteśmy na skraju Puszczy Augustowskiej. Unikamy tłumów. To piękne miejsca, w których się zakochaliśmy i rozkochaliśmy

w nich nasze dzieci. Spędzamy tu tyle czasu, ile tylko możemy. Tu świętujemy np. sylwestra, tu odpoczywamy w każde wakacje. Bo Augustów, Sejny i Suwałki są piękne o każdej porze roku. Zachwyceni jesteśmy wyścigiem narciarskim Dąbrówka, urzekają nas rezerwy przyrody czy nieodkryte małe, leśne jeziora. Co tu dużo mówić, tu czas płynie wolniej. Mamy tu wielu znajomych i przyjaciół. Tu ludzie są bardziej życzliwi, otwarci - opowiada Aleksandra.

Miłością do Augustowszczyzny i Suwalszczyzny zarazili też swoje córki oraz mamę pani Aleksandry.

- Moja mama także pokochała Augustów. Często tu z nami przyjeżdżała i wspólnie odkrywaliśmy piękno tych stron. Śmiała się, że prowadząc samochód o północy wiedziałam, w którą leśną dróżkę skręcić, aby dojechać do celu. Bardzo kibicowała naszej miłości - wspomina Aleksandra. - Uwielbialiśmy razem chodzić na kartacje. Potem sami nauczyliśmy się je robić.

Ola przyznaje, że jest zachwycona tym, jak jej ukochany region w ostatnich latach się rozwinął.

- Zmiany w Augustowie czy Suwałkach są - z perspektywy tych 30 lat - kolosalne. Na ogromny plus. To bardzo dobrze rozwinięte miasta, a jednocześnie „niezdeptane” przez ludzi. Mam wrażenie, że w którą stronę byśmy tu nie pojechali, zawsze odkryjemy nowe, piękne miejsce. Nie ma drugiego takiego regionu w Polsce, który ma jednocześnie jeziora, lasy, góry i takich wspaniałych mieszkańców - podkreśla.

Dla Forysiów każdy wyjazd na Suwalszczyznę to także powrót do źródeł ich znajomości i miłości, do wspomnień o ukradkowych spojrzeniach i pierwszych rozmowach.

- Tu cała nasza rodzina łąduje akumulatory. Już teraz czujemy się nierozdzielnie częścią tej społeczności - mówią. - W Warszawie na drogowkach zawsze widzimy Augustów, nawet gdy trasa prowadzi na południe Polski. I my się śmiejemy, że wszystkie drogi prowadzą nas do Augustowa. - Tak bardzo przywiązaliśmy się do tego miejsca, bo ono jest jak lustro naszej miłości, jak największy przyjaciel - najpierw pierwsze, nieśmiałe spojrzenia, potem ogniska, narty wodne, a dziś nasze dzieci biegną po tych samych ścieżkach. I choć teraz obowiązki w Warszawie trzymają nas mocno, to my wiemy, że kiedyś właśnie na Suwalszczyźnie zakotwiczymy na stałe. To jest takie nasze wspólne marzenie - na stałe zamieszkać w domu na skraju puszczy, w którym będzie unosić się zapach świeżego chleba i śmiech naszych dzieci. A kiedyś, mamy nadzieję, że i gwar naszych wnuków.

Laznaczył przy tym, że mimo zaawansowanego wieku, aktorka do końca tryskała niegasnącą energią i zaangażowaniem. - Nawet mając 96 lat nie utraciła pasji do swojej pracy i kontaktu z publicznością. - Będzie jej niezmiernie brakowało. Zarówno najbliższemu, jak i jej wiernym fanom na całym świecie - napisano w komunikacie.

To była jej rola życia

Patricia Routledge zadebiutowała na Broadwayu w 1966 roku. I mimo że miała na koncie dość sporo teatralnych oraz telewizyjnych ról, to największą sławę zyskała dzięki serialowi „Co ludzie powiedzą?”. Był to cykl, który jak żadna inna brytyjska produkcja ukazuje w krzywym zwierciadle mieszczański sposób życia angielskiej klasy średniej, obnażając w wyjątkowy sposób przywary i obszyskując pompatyczność jej przedstawicieli. A wszystko to podane w otoczce inteligentnego humoru, który, mimo że kręci się głównie wokół brytyjskiego klimatu i zachowań, spodobał się na całym świecie. Nic zatem dziwnego, że serial „Co ludzie powiedzą?” pokochali także polscy widzowie.

- Rezydencja państwa Bukietów, przy telefonie pani domu - to wymawiane często zdanie przez bohaterkę serialu, niejaką Hiacyntę Bukiet (w oryginale: Bucket, ale o tym później) mówi o niej wszystko. Mimo, że potrafi podnosić słuchawkę z wytworną galanterią, którą zresztą prezentuje przy każdej możliwej okazji, to w rzeczywistości jest zwykłą snobką oraz pochodzącą z niższej klasy szarą obywatelką, zaś jej głównym celem jest imponowanie innym swoim wyrafinowaniem i udawanym bogactwem, kontaktami, znajomościami itp. Bezbronnymi „ofiarami” jej nadmuchanej osobowości stają się członkowie najbliższej rodziny, wliczając w to trzy siostry oraz męża Ryszarda, któremu nie pomaga fakt, że jest totalnym pantoflarzem, bez szmrania spełniającym coraz to bardziej wymyślne - żeby nie powiedzieć: szalone pomysły swojej żony.

- Ryszardzie, uważaj na ciężarówkę / Przecież stoi na parkingu! / Wtedy jest najbardziej niebezpieczna - ten dialog Hiacynty i Ryszarda dowodzi, że despotyczna małżonka, która nie ma pojęcia o prowadzeniu samochodu, uważa, że jest dokładnie na odwrót i uznaje za stosowne, by przekazać mężowi „cenne” wskazówki. Sytuacja z autem ma swoje odzwierciedlenie w każdej dziedzinie życia pani Bucket. To ona „najlepiej” gotuje, to ona ma „najlepszy” serwis do herbaty, to ona „najlepiej” przygotowuje parafialny piknik, to ona śpiewa „najlepiej”, to w niej wreszcie „kochają się” (tak na



Patricia Routledge, posiadająca niesamowity talent komediowy, w serialu „Co ludzie powiedzą?” wspięła się na wyżyny swoich umiejętności aktorskich

PATRICIA ROUTLEDGE DZIELIŁA ŻYCIE NA PRZED HIACYNTĄ I PO NIEJ

- Z głębokim smutkiem potwierdzamy śmierć Patricii Routledge, która odeszła dziś rano, spokojnie we śnie, otoczona miłością – przekazał w piątek w swoim oświadczeniu agent niezapomnianej pani Bukiet

Wojciech Obremski

prawdę szczerze jej nienawidzący) sąsiad Emmet. Zaś jego siostra Elżbieta w rzeczywistości panicznie boi się swojej sąsiadki, przeżywając prawdziwe katusze podczas proszonych herbatek u Hiacynty; nerwy Elżbiety są już zszargane do tego stopnia, że nie potrafi utrzymać filiżanki bez rozlewania napoju.

Wieloklasowa rodzinka

Wszyscy w okolicy, począwszy na sąsiadach, poprzez mleczarza i listonosza, na wikarym i jego małżonce kończąc, starają się unikać domostwa Hiacynty jak ognia. Nie zawsze im się to udaje, gdyż pani Bucket nie przepuści żadnej okazji, by opowiedzieć o kolejnym sukcesie jej syna Sheridana, zamoż-

nej willi jej siostry, z sauną i stajnią dla kucyka czy walecznych czynach jej tatusia, których ten miał dokonywać podczas wojny. Hiacynta nawet nie przyjmuje do wiadomości, że syn zmienił zarówno kierunek studiów (na hafciarstwo), jak i orientację płciową, bogata siostra Violetta „od kucyka” trwa w toksycznym związku z męż-

czyną, który ma dość dziwne skłonności seksualne, zaś ojciec to podstarzały człowiek, zmagający się z demencją, która w dość znaczący sposób wpływa na jego libido. Jeśli czymś Hiacynta nie chce się pochwalić przed otoczeniem, to są to dwie pozostałe siostry (Róża i Stokrotka) oraz mąż tej drugiej Powolniak, mieszkający w warunkach urągających nawet najniższej z klas i posiadający dość, nazwijmy to, luźny stosunek do życia, co za nic nie może być kojarzone z „idealnie skrojonym”, choć wyimaginowanym statusem Hiacynty. Dla bohaterki jest rzeczą niedopuszczalną, że rozwiązała Róża zmienia partnerów jak rękawiczki (jednym z nich był Polak, z „trudnym do wymówienia nazwiskiem, kończącym się na -ski”), zaś Stokrotka może wytrzymać ze swoim mężem, obleśnym obdartusem, popijającym całe dnie piwo przed telewizorem, który uruchomi się wyłącznie po uderzeniu w odbiornik (wprawne oko zauważy, że Powolniak nie jest do końca tym, za którego uważa go Hiacynta, a i pośrednio widzowie - podczas scen w sypialni można dostrzec, że czyta on książki poświęcone fizyce lub notowaniom giełdowym).

Wyżyny aktorstwa pani Routledge

Popularność serialu, którego premiera odbyła się w 1990 roku, tłumaczył jego scenarzysta Roy Clarke. - Wszyscy znają kogoś takiego jak Hiacynta. Może być członkiem naszej rodziny lub mieszkać na końcu ulicy - zauważał. Pierwszy sezon serialu sprzedano 992 stacjom, a ogólnie powstało pięć serii, składających się z czterdziestu odcinków, nie licząc pięciu specjalnych. W 2004 roku serial zajął drugie miejsce w światowym rankingu ulubionych komedii BBC, zaś odtwarzająca główną rolę Patricia Routledge została odznaczona przez królową Elżbietę II Orderem Imperium Brytyjskiego, dwukrotnie nominowano ją też do nagrody BAFTA.

I chyba większość, oglądając Hiacyntę w akcji przyzna, że słusznie, bo wcielająca się w nią Patricia Routledge, posiadająca niesamowity talent komediowy, wspięła się na wyżyny swoich umiejętności aktorskich. Scenariusz również był sprawnie napisany, toteż nic dziwnego, że od razu przypadł jej do gustu. - Zaczęłam czytać po pierwszej w nocy i skończyło się na tym, że czytałam do czwartej nad ranem, rehcząc przy tym nieustannie - mówiła w programie „The one show”. Jednak aktorka często podkreślała, że oprócz dwóch rąk, dwóch nóg, dwojga oczu, nosa i ust, nic więcej nie łączy jej ze swoją bohaterką. - Moje życie to etap przed Hiacyntą i po niej. Jeśli ludzie będą mnie

pamiętać tylko jako Hiacyntę, to nic na to nie poradzę. Ale jeśli dzięki temu ludzie chodzą do teatru by mnie oglądać, to mogę być szczęśliwa. Nie chciałbym być Hiacyntą na zawsze. Ale to nie znaczy, że nie jestem wdzięczna za tę postać - twierdziła P. Routledge w jednym z wywiadów. Serial przerwano w 1995 roku, właśnie ze względu na rezygnację aktorki z głównej roli (jeden z odcinków specjalnych - „Wspomnienia Hiacynty”, będący kompilacją najzabawniejszych scen serialu przypomnianych przez Powolniaka i Stokrotkę, nakręcono dwa lata po zakończeniu cyklu, bez udziału P. Routledge, nie licząc scen retrospektywnych). Choć sama aktorka nigdy nie podała powodu odejścia, zmarły w 2019 roku Clive Swift, wcielający się w jej męża Ryszarda, przyznał w rozmowie z BBC, że jego filmowa partnerka nie chciała do końca życia być panią Bucket. I chyba coś było na rzeczy, gdyż aktorka poświęciła się potem innym projektom, na czele z serialem kryminalnym „Śledztwa Hetty Wainthropp”, w którym grała panią detektyw. Routledge wcieliła się również w telewizyjne role prawdziwych postaci, w tym pisarki Barbary Pym oraz św. Hildegardy z Bingen.

„Nazywam się Bouquet, nie Bucket!”

Wróćmy jednak do nazwiska głównej bohaterki „Co ludzie powiedzą?”. W wersji oryginalnej „Bucket” oznacza wiadro. Dlatego właśnie Hiacynta wciąż (bezsukcesnie) upiera się, by wymawiać jej nazwisko w sposób bardziej wysublimowany: „Bouquet”, co z francuskiego oznacza „bukiet”, dzięki czemu można by nazywać ją Hyacinth Bouquet, czyli „Bukietem hiacyntów”. W niektórych polskich tłumaczeniach postacie przeinaczały nazwisko bohaterki na: „Żakiet”. Serialowa Hiacynta nie potrafi śpiewać, a gdy próbuje, okropnie fałszuje. W rzeczywistości P. Routledge uczyła się w młodości śpiewu, zaś w 1968 roku otrzymała nawet nagrodę Tony za musicalowe role.

Aktorka odeszła zapewne z poczuciem satysfakcji, że dzięki niej „Co ludzie powiedzą?” to, jak zauważa portal Naeckranie.pl, „z jednej strony wyśmienita zabawa, z drugiej celna satyra społeczna. Jak się okazuje, komentarz wciąż jest aktualny i nie dotyczy jedynie brytyjskich przedstawicieli klasy średniej i wyższej. Doskonała odtrutka na snobizm, nadąsanie i podwójną moralność tych, którzy dzięki swojej pozycji społecznej dowartościowują się kosztem innych.”

Serialowa Hiacynta była tylko jedna, choć każdy z nas zna podobne. Nadzwyczaj trafnie uświadomiła nam to nie-zrównana Patricia Routledge.

ŚWIRSZCZYŃSKA. POETKA, KTÓRA ROZSADZAŁA RAMY I MIAŁA ODWAGĘ BYĆ SOBĄ

Anna Świrszczyńska – poetka, dramatopisarka, publicystka, feministka. Pisała o ciele, macierzyństwie, seksualności, ale też o wojnie, biedzie i losach tych, którzy nie mieli głosu. Dziś jej twórczość brzmi zaskakująco współcześnie. O Świrszczyńskiej – „genialnej i nieznannej” – opowiada Agnieszka Stapkiewicz, autorka książki poświęconej tej niezwyklej kobiecie

Jolanta Tęcza-Ćwierz

Co było dla Pani impulsem do podjęcia pracy nad biografią Anny Świrszczyńskiej (1909-1984)?

Długo marzyłam o biografii, ale uznałam, że mam zbyt mało nowych informacji, wystarczających materiałów, ani cierpliwości do benedyktyńskiej pracy archiwalnej. Spodobał mi się pomysł portretu – bardziej osobistej opowieści, ale wciąż oddającej bogactwo tej postaci. Anna Świrszczyńska to kobieta niezwykle ciekawa, pełna pasji, walcząca, a jednocześnie bardzo ludzka. Silna osobowość, którą po prostu warto poznać. Dla mnie jest przede wszystkim poetką, choć w trakcie pracy przekonałam się, że to postać o wielu obliczach. Przez całe życie utrzymywała się z pisania dla dzieci, a w pewnym okresie sama przedstawiała się jako dramatopisarka. Była także aktywną feministką – jasno i odważnie mówiła o prawach kobiet. Jej feminizm przenikał do poezji, ale wybrzmiewał także w wywiadach i tekstach publicystycznych. Nie mniej istotna była jej działalność społeczna: przez kilkadziesiąt lat publikowała artykuły, w których protestowała przeciwko nadużyciu alkoholu i zachęcała Polaków do trzeźwości. To pokazuje jej temperament – była osobą żarliwą, waleczną i zaangażowaną. Pomagała ludziom prostym, biednym, w imieniu których zabierała głos. To również istotny rys jej charakteru. Jej twórczość jest mocna, prosta i podejmuje najważniejsze tematy. Dlatego warto przypominać postać i dzieło Anny Świrszczyńskiej.

Była nazywana „poetką fizyczną”. Jak Pani rozumie ten termin w odniesieniu do jej twórczości?

To swoista gra słowna. Czesław Miłosz chciał widzieć w jej poezji wymiar metafizyczny, choć sama Świrszczyńska deklarowała agnostycyzm, więc trudno przypisywać jej metafizyczność. Rok temu, podczas wieczoru Świrszczyńskiej na Festiwalu Miłosza, padła ciekawa teza: skoro tak wiele pisała o ciele, trzeba ją nazywać raczej „poetką fizyczną”. I rzeczywiście – ciało było tematem, do którego najczęściej powracała. Świrszczyńska nie zapomina, że wszystkie aspekty naszej egzystencji rozgrywają się w ciele i nie ma od tego ucieczki. Z ogromną czujnością przyglądała się zwłaszcza doświadczeniu kobiecego ciała, którego istnienie jest jeszcze bardziej skomplikowane, bo obarczone dodatkowymi oczekiwaniami i ograniczeniami społecznymi. Pisała o tym z niezwykłą szczerością i uwagą. W wielu wierszach wypowiadała się w imieniu pokrzywdzonych i zmarginalizowanych. Szczególnie dobrze widać to w tomie „Jestem baba”, gdzie umieściła krótkie, dojmujące miniatury – scenki, które celnie ukazują opresję kobiet. Nie są to jej osobiste doświadczenia, lecz raczej poetycki projekt nakreślenia kobiecego uniwersum – stąd tak wiele wizerunków bohaterki, z którymi autorka się solidaryzowała i wobec których okazywała empatię. Znalazłam wzmiankę, że po jednym ze spotkań na wsi kobiety dziękowały jej za to, że opisała ich życie – to ją bardzo cieszyło. Posługiwała się prostym stylem, chciała dosłownie „trafić pod strzechy”. Jej poezja dotyka spraw, które wciąż są żywe. Gdy dziś czytam wiersze o trudnym porodzie, sądzę, że nie tylko oddała własne

trudne przeżycie, jednocześnie opisała doświadczenie wielu kobiet. Jak pokazują statystyki Fundacji „Rodzic po ludzku” – nadal jest wiele do zrobienia w tej sprawie. Świrszczyńska to wielka filozofka ciała – notująca zarówno jego radości i rozkosze, jak i lęki oraz tajemnice.

Czy jej empatia, głęboka wrażliwość na los innych i skłonność do solidaryzowania się z tymi, którzy nie mają głosu ani szans na obronę swoich praw, mogły wynikać z własnych, trudnych doświadczeń dzieciństwa – z niedostatku, głodu, a może także z dramatycznych przeżyć wojennych, które obserwowała i przeżywała osobiście?

Stawiam taką hipotezę, choć nie chciałabym amatersko psychologizować – nie wiemy przecież, jak ona sama o tym myślała i w jakim stopniu była tego świadoma. Faktem jest jednak, że dorastała w trudnych warunkach. Jej ojciec był malarzem, artystą uparcie wiernym swoim wizjom, które nie dawały możliwości utrzymania rodziny. W domu często brakowało pieniędzy, zdarzało się, że rodzina głodowała. Matka zajmowała się domem, ale jak dbać o rodzinę, kiedy trzeba ugotować zupę niemal z niczego? Wydaje mi się, że właśnie postać matki – cichej, pokornej, pełniącej niezbędną, a jednocześnie niedocenianą funkcję – mogła być dla Świrszczyńskiej pierwszym, choć nie do końca uświadomionym

doświadczeniem, które później pozwoliło jej tak głęboko rozumieć losy innych kobiet, których życie było służbą innym. W wierszach wyrażała wprost swoją więź z żebraczkami z krakowskich Plant, nazywając je „siostrami z dna” i znosząc wszelkie różnice między nimi. A przecież była intelektualistką, literatką. Mimo to naprawdę się z nimi bratała.

Jak Świrszczyńska radziła sobie z cenzurą i presją ideologiczną w czasach PRL-u? Świrszczyńska wychowała się w kulcie ideałów rewolucji 1905 roku. Ojciec zaszczepił jej wrażliwość na los robotników i prostych ludzi. Jednocześnie była krytyczna wobec partii. Myślę, że jej twórczość dla dzieci stała się przestrzenią, w której mogła tworzyć bez ingerencji cenzury. Podejmowała wątki piastowskie, co wpisywało się w narrację propagandową. Jednak życie Słowian interesowało ją już przed wojną, więc czasami mogło to być przypadkowe i fortunne wpisanie się w oczekiwania władzy. Była aktywną feministką, niezależnie od wycofywanych obietnic władz. Kiedy ukazał się jej tom „Jestem baba”, krytycy nie bardzo wiedzieli, jak go sklasyfikować – nie pasowała zupełnie do tzw. poezji kobiecej... Dziś łatwiej dostrzec, że był to „głos w sprawie”. Pokazywała los prostych kobiet wiejskich – zaharowanych i doświadczających przemocy. To głos protestu przeciwko niemożliwości odmiany ich życia.

BYŁA OSOBĄ ŻARLIWĄ, WALECZNĄ I ZAANGAŻOWANĄ. POMAGAŁA LUDZIOM PROSTYM, W IMIENIU KTÓRYCH ZABIERAŁA GŁOS

Jaką rolę odgrywa w jej poezji doświadczenie choroby, starzenia się, macierzyństwa, seksualności?

Jako sanitariuszka w Powstaniu Warszawskim Świrszczyńska otrzymała dramatyczną lekcję cielesności. Pisała później, że ceniła wydzielinę jeszcze żywego ciała – bo życia wokół było coraz mniej. To doświadczenie na zawsze naznaczyło jej twórczość i sprawiło, że temat ciała stał się jednym z najważniejszych. Świrszczyńska zawsze stawiała na szczerłość – także wobec samej siebie. Jej wiersze robią wrażenie właśnie dzięki bezkompromisowej wiwi-seksji, próbie dotarcia do istoty własnego istnienia. Osoba mówiąca w wierszach prowadzi swoiste dialogi z ciałem, które okazują się monologami – bo w gruncie rzeczy mówi dusza, podczas gdy ciało pozostaje żywiołem nieodgadnionym. Świrszczyńska uparcie dążyła do tego, by odnaleźć samą siebie. Pisała: „gdzie jestem ja, ja sama, sama”. To powtórzenie oddaje jej intensywną pragnienie uchwycenia tej cząstki człowieka, która jest jego istotą. Poetka doskonale czuła, że egzystencja przeżywana w ciele kobiety staje się czymś jeszcze bardziej skomplikowanym. Nawet w erotykach – które nazwałam „intelektualnymi”, bo są pełne rozważań nad tym, co dzieje się między dwójkiem ludzi – poetka zachowuje niezwykłą czujność. Potrafi pisać o „nocach ekstazy” i „barokowych zwycięstwach”, a w innym wierszu mówi do kochanka: „dzisiaj nie przychodź, nie kupuj kwiatów, szkoda forsy”. To moment, w którym kobieta odcina się od miłosnych uniesień i czuje, że powinna „wrócić na ziemię”. Świrsz-

czyńska zapisywała wiele doświadczeń, które znamy, ale trudno nam je wyrazić. Ona znajdowała dla nich język. Wyróżniała ją czujność, niezależność myślowa i egzystencjalna: stawiała pytania o granice istnienia, o to, jak zmienia się ono w relacji z drugim człowiekiem. Przecież to bardzo współczesne.

A jaką rolę w jej twórczości odegrał teatr? Czy można powiedzieć, że styl Świrszczyńskiej „narodził się na scenie”?

Świrszczyńska napisała około dziesięciu dramatów. Być może to właśnie stąd wzięło się jej świetne wyczuwanie języka potocznego i mówionej frazy, które później tak silnie przenikają do poezji. W dramacie słowo musi brzmieć naturalnie i odpowiednio płynąć – myślę, że ona doskonale to czuła. Teatr był dla niej ważny także ze względu na podejmowane w nim tematy, często odnoszące się do bieżących wydarzeń politycznych. Dla mnie najciekawszy jest dramat o Orfeuszu, który wyprowadza swoją żonę z krainy umarłych dzięki... śmiechowi. To wczesny utwór Świrszczyńskiej (z 1945 roku). Zawiera ciekawy motyw śmiechu jako heroicznej postawy wobec paradoksu życia. Ten obraz powraca w intrygujących wierszach o człowieku śmiejącym się na linie nad przepaścią. Pokazuje to, że wyobraźnia Świrszczyńskiej była ponadgatunkowa.

Dlaczego twórczość Anny Świrszczyńskiej rozkwitła dopiero po sześćdziesiątce – czy dzięki doświadczeniom życia, czy wreszcie zdobyte niezależności?

Myślę, że kluczowe było to, że wreszcie zyskała „własny pokój” – wedle określenia



FOT. WOJCIECH MATUSIK

– Napisałam tę książkę dla wszystkich, którzy są ciekawi silnych, fascynujących kobiet – mówi Agnieszka Stapkiewicz

Virginii Woolf. Chodzi o przestrzeń i środki, które pozwalają kobiecie tworzyć. Z pisania trudno się utrzymać, a jednak Świrszczyńskiej to się udało – dzięki pracy literackiej utrzymywała całą rodzinę. W wieku 44 lat wyszła za mąż za Jana Adamskiego, krakowskiego aktora, znacznie młodszego od niej i niezwykle towarzyskiego. Ze względu na różnicę wieku było to małżeństwo nietypowe jak na tamte czasy. Sama Świrszczyńska żartowała w wywiadach, że marzy o tym, by mąż każdej literatki zaprzyjaźnił się z odkurzaczem – z czego można wnioskować, że Adamski raczej unikał domowych obowiązków. Na pisarkę spadła więc opieka nad domem, dzieckiem, a także rodzicami i teściem. W mieszkaniu na Krupniczej trudno było jej znaleźć przestrzeń do pisania. Przełom nastąpił po piętnastu latach – po dramatycznym rozstaniu z mężem. Córka była już nastolatką, rodzice zmarli, a ona wreszcie zyskała niezależność i upragniony „własny pokój”. Wtedy właśnie nastąpiła erupcja jej twórczości i spektakularny powrót do poezji. W krótkim czasie ukazało się kilka tomów – każdy inny stylistycznie, każdy podejmujący nowe zagadnienia, napisany nowym językiem.

Pisze Pani, że poetka jest postacią tragiczną – genialną, ale nieznaną. Z czego to wynikało?

Tak już bywa z losem artystów – sława nie zawsze idzie w parze z talentem. Van Gogh sprzedał ponoć jeden obraz za życia, a dziś wszyscy znają jego dzieła. Świrszczyńska była obecna – publikowała dużo, sama przedstawiała się jako literatka i rzeczywiście był to jej jedyny zawód. A jednak jej najważniejsze, najlepsze wiersze powstały późno i były odważne, czasem szokujące. Nawet Miłosz, który jej twórczość promował i tłumaczył na angielski, nie wszystkie potrafił zaakceptować. Świat także nie był jeszcze gotowy. Mam wrażenie, że dopiero współcześnie możemy się wypowiadać trudno, niewygodne prawdy, a Świrszczyńska mówiła o nich już pięćdziesiąt lat temu. Łatwo wskazać momenty, w których wyprzedziła swoje czasy: praktykowała jogę, była wegetarianką, sprzeciwiała się zabijaniu zwierząt. To kwestie, które dopiero od niedawna przenikają do powszechnej świadomości. A ona była o tym głęboko przekonana, żyjąc w realiach PRL, za żelazną kurtyną. Skąd u niej taka samorodna wiedza i świadomość? To zdumiewające, że kobieta w tamtych warunkach stwo-

rzyła projekt tak bliski zachodniemu feminizmowi, do którego przecież nie miała bezpośredniego dostępu. Świrszczyńska rozsada wszystkie ramy, w które próbuje się ją wpisać. I bardzo dobrze – dzięki temu wciąż mamy przed sobą pole do odkrywania jej wyjątkowości.

Powiedziała Pani, że z jednej strony Miłosz spopularyzował twórczość Świrszczyńskiej, a z drugiej – narzucił jej odbiór. Jak Pani ocenia ten ambiwalentny wpływ?

To kwestia, o której trzeba mówić ostrożnie, bo Miłosz uczynił wiele dla popularyzacji dzieła Świrszczyńskiej. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku napisał o niej esej „Jakiegoż to gościa mieliśmy”. To opowieść biograficzna, w której przedstawia ją jako postać niezwykłą, wręcz kogoś, kto „zstał się”, nas „nawiedził”, a myśmy tego nie dostrzegli. Z jednej strony jest to ujęcie trafne, z drugiej – problematyczne. Dziś, gdy czytamy te słowa, feministki pytają: jeśli ona była „gościem”, to kto jest „gospodarzem”? Czy to nie jest zawłaszczające? Rzeczywiście, coś w tym jest, ale nie sądzę, żeby Miłoszowi właśnie o to chodziło. Co prawda nie akceptował feminizmu Świrszczyńskiej, bo miał inne poglądy, jednak nie można mu zarzucić złej woli.

Raczej chodzi o to, że język i sposób myślenia zmieniły się od czasu wydania książki Miłosza trzydzieści lat temu. To, co wtedy brzmiało naturalnie, dziś może być odbierane jako nadużycie. Nie chodzi zresztą o sam tytuł książki. Porównywał poetkę do Mirandy i Rozalindy Szekspira – a przecież nie była eterycznym elfem; przeciwnie – była konkretna i rzeczowa. Nazwał ją „Telimeną wywołaną”, a przecież ona nie goniła za mężem, bo sama potrafiła się utrzymać. Miłosz przedstawiał własną wizję Świrszczyńskiej – jako osoby i jako poetki. Warto zwrócić uwagę na to, które wiersze Świrszczyńskiej przetłumaczył, a które pominął. Tu najlepiej widać, że poeta kształtował jej odbiór. Uznałam, że warto o tym wspomnieć, bo to także aktualne zagadnienie: czy uznanie dla twórczości kobiety musi być poprzedzone męskim „błogosławieństwem”?

We wstępie do książki przytacza Pani historię o karteczkach z wierszami pozostawianych na grobie poetki. Czy natknęła się Pani na jakieś inne świadectwa osobistej pamięci o Annie Świrszczyńskiej?

Ponoć ktoś zostawił na grobie Świrszczyńskiej kartki z jej wierszami. Kiedy padał

deszcz, papier wtapiał się w kamień nagrobka... To piękny gest – dowód potrzeby nawiązania kontaktu z poetką. Sama również poczułam potrzebę, by odwiedzić jej grób. W Krakowie, na Plantach, znajduje się dziś ławeczka upamiętniająca Świrszczyńską – dla mnie to symbol podwójny, bo przecież rzeczywiście siadywała tam razem z żebraczkami. Pisząc o niej, starałam się być bliżej, a jednocześnie nie zawłaszczając jej, tylko pokazać różne jej oblicza. To musiała być niezwykle ciekawa osoba, choć zapewne niełatwa w codziennym życiu – uparta, żarliwa, czasem męcząca. Przecież miała potrzebę zmieniania świata i czasem jej to wychodziło. Dziś wiersze Świrszczyńskiej pojawiają się na transparentach Strajku Kobiet – na przykład wiersz „Odwaga”. Myślę, że to dobre miejsce dla jej wierszy i że sama z pewnością chodziłaby na te marsze.

Jak chciałaby Pani, żeby książka – portret poetki – zaistniała w świadomości literackiej i społecznej? Jak wpłynęła na miejsce Świrszczyńskiej we współczesnym świecie, skoro ona ten świat tak wyprzedzała?

Zatytułowałam książkę „genialna i nieznaną”, bo mam poczucie, że Świrszczyńska funkcjonuje całkiem dobrze,

ale głównie w kręgach akademickich. Tymczasem w rozmowach ze mną ludzie przyznają czasami, że nigdy o niej nie słyszeli. Dlatego napisałam tę książkę dla wszystkich, którzy są ciekawi silnych, fascynujących kobiet. Chciałabym, żeby dowiedziało się o niej więcej osób. Zachęcam, by sięgnąć po jej poezję i sprawdzić, ile można z niej zaczerpnąć dla siebie. Wiersze Świrszczyńskiej są krótkie i proste w formie, ale kryje się w nich wielka filozofia i idee, które pozostają aktualne także dziś. Czy można chcieć więcej?

KSIĄŻKA



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Świrszczyńska. Genialna i nieznaną

Autorka kreśli fascynujący obraz kobiety, która nie bała się mówić własnym głosem. Odkrywa wyjątkowość poetki, piszącej szczerze o kobiecych doświadczeniach.

Można człowiekowi zabrać wszystko: majątek, firmę, nawet rodzinę. Ale nie można odebrać mu godności i stylu. Bożena Batycka straciła niemal wszystko, ale potrafiła się podnieść i umie pięknie żyć – mówi Magdalena Kuszewska, dziennikarka i pisarka

Anita Czupryn

MAGDALENA KUSZEWSKA: BARDZO ZALEŻAŁO MI, BY TA WYJĄTKOWA HISTORIA BYŁA BLISKA WIELU LUDZIOM

Bożena Batycka długo nie chciała mówić o sobie ani pisać książki. Co było tym impulsem, że się na to zdecydowała i zadzwoniła właśnie do ciebie? Ta myśl, jak sama o tym mówi, długo w niej dojrzewała. Najpierw przeżywała ogromny wstyd, że straciła wszystko, że nie jest już u steru firmy Batyckiej, że w jej życiu wydarzyło się tyle dramatów. Nie potrafię wskazać, dlaczego akurat wtedy zdecydowała się na ten krok. Na pewno pomogło to, że się spotkałyśmy. Nieskromnie powiem: musiała mnie polubić i zaufać. Ania Halvorsen, nasza wspólna koleżanka, na której urodzinach się poznałyśmy, mówiła do Bożenki: „Może już czas, żebyś napisała książkę. I niech zrobi to Magda; polubiliście się, poznałyście, ona to udźwignie”. Bożenka przez jakiś czas zwlekała, ale Ania była naszym łącznikiem. W końcu Bożenka uznała: „Okej, to jest ten moment”.

We wstępie napisałaś, że na takie biografie się czeka. Co w tej konkretnej opowieści było dla ciebie epickim materiałem? Nigdy wcześniej nie spotkałam bohaterki, która najpierw miałaby tak potężne pasmo sukcesów, a potem, niemal jeden po drugim, tyle dramatów. Skala tych wydarzeń mnie poraziła. To nie były zwykłe kryzysy: utrata małżeństwa, śmierć najstarszego syna, poprzedzona jego tragicznym zaginięciem i kilkunastoletnimi poszukiwaniami z wynajmowaniem prywatnych detektywów, utrata firmy i marki osobistej, depresja. A przecież Bożena Batycka weszła do biznesu w 1989 roku. Stała się na czele rodzinnej firmy, kiedy była po czterdzieście, mając za sobą dwie dekady spędzone w domu. Te losy są absolutnie unikatowe, a zarazem, para-

doksalnie, bardzo uniwersalne. Piszą do mnie osoby, które same doświadczyły rozpadu małżeństwa, utraty dziecka, firmy, które zostały oszukane czy wykorzystane. Mówią, że odnajdują się w losach Bożenki. Dlatego tak bardzo zależało mi, by ta wyjątkowa historia była też bliska wielu ludziom.

Czytając waszą książkę, zastanawiałam się, o czym ona jest bardziej: o kobiecie-feniksie, która odradza się z popiołów, czy o człowieku, który uczy się żyć w cieniu straty? Pięknie to ujęłaś. Powiedziała bym, że i o tym, i o tym. Bożena jest symbolicznym feniksem; potrafi się odradzać. To dla mnie niesamowite i mam ciarki na plecach, kiedy o tym mówię. Ona naprawdę umie pięknie żyć. Owszem, miewa momenty, kiedy, jak sama mówi, zapada się w czarną dziurę. Czasem przez kilka dni leży w łóżku, odcina się od świata, żyje rozpaczą. A potem podnosi się jak feniks. Opowiadała mi, że uprawia ogród. W istocie jest to uroczy kawałek ziemi na blokowisku, między blokami w Gdyni, który Bożenka zaadaptowała i nazwała szumnie ogrodem. Nie wiedziałam, że komuś może sprawiać aż taką radość sadzenie roślin, grzebanie w ziemi. Wiosną i latem, gdy do mnie dzwoniła, niemal codziennie opowiadała o tym ogrodzie i cieszyła się nim jak dziecko. Powiem to jeszcze raz: ona naprawdę potrafi pięknie żyć. Kiedy pijemy razem kawę ijemy tartę, którą upiekła, to ja dzięki niej też przeżywam te chwile. To są drobne momenty szczęścia: siedzimy razem, jesteśmy zdrowe, rozmawiamy, a przez okno wpada słońce. I to jest piękne życie.

W książce Bożena Batycka jest niesłychanie szczera. Miałas

moment, w którym bałaś się, że ciężar tej szczerości może cię przerosnąć?

Od początku chciałam ją napisać, a jednocześnie miałam wiele obaw. Zdarzało się, że podczas pracy nad książką płakałam. Były też chwile, kiedy musiałyśmy przerwać rozmowę, bo było zbyt trudno i jej, i mnie. To wszystko filtrowałam przez siebie. Każdą z rozmów przeprowadzałam osobiście, bo trudno mówić przez telefon z matką o stracie syna. Spotykałyśmy się w domu Bożeny i może dlatego to wszystko było tak namacalne, bliskie i tym bardziej trudne. Nie ukrywam, że nieraz wracałam z Gdyni z bardzo ciężkim sercem, a potem jeszcze długo o tym myślałam. Na szczęście wiedziałam, że wartość tkwi w tym, by przekazać tę historię dalej.

Była ikoną, była na szczycie, z którego spadła. Co w tej historii jest uniwersalnego, bliskiego każdemu z nas? W czym kobiety mogą się przejrzeć jak w lustrze?

Rzeczywiście, Bożena spadła z bardzo wysokiego konia, ale, jak wspominałam, odzyskując się do mnie osoby, które czują się zranione przez innych, straciły wspólników albo partnerów, ale jest oczywiście kwestia skali. Oni mówią o tym, że stracili swoje małe firmy, zakłady pracy, jak salon kosmetyczny, czy gabinet manicure. Słucham też historii tych, którym rozsy-

pało się małżeństwo, a wydawało się tak silne, albo którzy stracili dorosłe dziecko. W książce też pojawia się wątek miłosny - z ekspartnerem Bożeny, który prowadził podwójne życie. I to również rezonuje z doświadczeniami wielu osób. Historii jest naprawdę dużo, ale przede wszystkim chodzi o opowieść o upadku i stracie, i to rozumianej bardzo szeroko. Każdy z nas w którymś momencie życia coś traci. I to właśnie jest uniwersalne. Oczywiście, w przypadku Bożeny mamy do czynienia z ogromną skalą: ona była jedną z najbogatszych i najbardziej rozpoznawalnych Polek. Ale dzięki temu łatwiej przejrzeć się w tej historii jak w lustrze.

Czy czujesz, że spotkała ją niesprawiedliwość, i że kiedyś sprawiedliwość nadejdzie? A może to życie ją tak poprowadziło, przez zakręty, albo dokonała złych wyborów i teraz ponosi konsekwencje. Jakie jest Twoje zdanie?

Bożenka na pewno zbyt mocno ufa ludziom. Sama mówi, że bywa naiwna. Myślę, że to może być źródło wielu niewłaściwych decyzji, na przykład jeśli chodzi o dobór współpracowników, jak też zbyt duże zaufanie okazane synowi Tomaszowi. Miał dostęp do dokumentów i finansów, narobił kłopotów, zadłużył firmę. Potem uciekł, zniknął. Sytuacja stała się dramatyczna. Oczywiście, los także miał w tym swój

udział, ale jednak ta ufność, łatwowierność to główne powody. Gdyby nie spotkała na swojej drodze pewnych osób, jej upadek nie byłby aż tak bolesny.

Ta historia jej syna Tomka brzmi bardzo tajemniczo.

Tak. Zaginął, nie było go kilkanaście lat. Bożena wynajmowała detektywów, szukała go wszędzie, ale tak naprawdę nie wiadomo, co wtedy robił. Podobno był w Warszawie, tam też zmarł. To ciekawe i straszne zarazem: najpierw został zarejestrowany jako NN, a dopiero potem policjantom udało się dotrzeć do Bożenki. Jak w filmie: zapukało do jej drzwi dwóch policjantów i powiedziało: „Tomasz Batycki zmarł tego i tego dnia w szpitalu”. Podobno przyczyną były nerki. Nie wiadomo, co działo się z nim przez te wszystkie lata.

Co znaczyły dla Ciebie te wątki osobiste, bo też i choroba jej drugiego syna, próba samobójcza? Co czułaś, pisząc o takim bólu?

Często było mi trudno. Myślę, że dobrze mnie rozumiesz, jako osoba, która też pisze książki i rozmawia z ludźmi. Kiedy siedziałam przy biurku, sama z komputerem, naprawdę czułam ból; nazwałabym go bólem duszy. Czasem był wręcz przytłaczający. Wiedziałam o Bożenie sporo jeszcze przed nagraniem rozmów, ale dopiero podczas pisania docierało do mnie, jak ogromnie została doświadczona. Dowiedziałam się wtedy, że zmagala się też z nowotworem piersi. Pomyślałam: „Boże, jeszcze to? Losie, nie oszczędziłeś jej i jeszcze musiałeś obarczyć rakiem?”. Miałam momenty irytacji. Bo każdy z nas zmagają się z chorobami, z nieszczęciami, ale u Bożeny

było tego po prostu za dużo. I jest tego za dużo.

Bywały momenty, kiedy Bożena Batycka mówiła: „Tego nie mogę powiedzieć, o tym nie opowiem”? Czy ona w ogóle ma jeszcze sekrety, o których nikomu nie powie?

Myślę, że jak każdy ma kilka swoich sekretów, ale muszę też powiedzieć, że wielu rzeczy po prostu nie pamiętała. Być może to efekt choroby dwubiegunowej, depresji, a może tego, że tak wiele wydarzyło się w jej życiu. Wierzę, że mówiła prawdę, kiedy powtarzała, że czegoś nie pamięta. Na przykład nie pamiętała bardzo wielu rzeczy z dzieciństwa. Na szczęście z pomocą przyszła jej siostra Grażynka, wspaniała, gościnna, serdeczna osoba. Bożena przyznała, że to właśnie dzięki Grażynie odnalazły się pewne wątki: choćby opowieść o babci, która wychowała żydowskie dziecko, oddane w czasie wojny. Bożena zapomniała o tym epizodzie; to Grażyna sprawiła, że ta historia ujrziała światło dzienne. Myślę, że ona faktycznie wielu rzeczy po prostu już nie pamięta.

Bożena Batycka mówi, że ta książka to była jej autoterapia. Czym była dla ciebie? Bardziej książką reporterską, psychologiczną czy rozmową terapeutyczną?

Wiesz, dla mnie to też był pewien rodzaj autoterapii. Przelfitrowywałam historię Bożeny przez własne doświadczenia, przez swoje straty. Po śmierci mojego ojca, jego rodzina zabrała mi większość rzeczy po nim; uważam, że to było bardzo niesprawiedliwe, brzydkie i złe. Dlatego mówię o uniwersalności tej opowieści: ja sama również odnalazłam się w losach Bożeny Batyckiej. Ten uniwersalizm działa także

*NIGDY WCZEŚNIEJ NIE SPOTKAŁAM
BOHATERKI, KTÓRA NAJPIERW
MIAŁABY TAK POTĘŻNE PASM
SUKCESÓW, A POTEM, JEDEN
PO DRUGIM, TYLE DRAMATÓW*



FOT. KALA KIEBASINSKA

Magdalena Kuszewska: To są drobne momenty szczęścia: siedzimy razem, jesteście zdrowe, rozmawiamy, a przez okno wpada słońce. I to jest piękne życie

na poziomie własnych strat. Paradoksalnie, dzięki życiu Bożeny i jej charyzmie mam w sobie jeszcze większą wdzięczność za życie, jeszcze większą radość z małych momentów. Miałam to wcześniej, ale teraz jest to we mnie jeszcze silniejsze.

Były takie momenty, kiedy Bożena Batycka mówiła: „Proszę, wyłącz dyktafon, nie chcę, żebyś to nagrywała?”

Wcześniej poprosiłam ją: „Bożenka, poruszamy tyle trudnych tematów, zwłaszcza dotyczy to rozmów o Tomku, jeśli więc w którymś momencie poczujesz emocjonalne zmęczenie, to mi o tym sygnalizuj”. I parę razy to robiła. Kiedy emocje brały górę albo rozmawiałyśmy już kilka godzin, mówiła: „Dobrze, Magduniu, już nie mam siły, już nie dam rady”. Wtedy, tego dnia kończyłyśmy rozmowę.

Kiedy twoja bohaterka opowiadała o swoich największych porażkach, nie miałaś ochoty zapytać: „Dlaczego tego nie widziałaś? Jak to możliwe?” Zdarzało ci się, że coś brzmiało tak niewiarygodnie, że musiałaś to weryfikować?

Sprawy dotyczące firmy Batycki wciąż toczą się w sądzie, jest ich

kilkanaście. Wspólnie z wydawcą ustaliliśmy, żeby zamieścić w książce wyroki, i to przede wszystkim te niekorzystne dla Bożeny. Chciałam jednak wyraźnie oddzielić dwie rzeczy: to jest biografia Bożeny, historia jej życia, a nie dzieje jej firmy. Gdybym pisała o firmie, musiałabym obowiązkowo przedstawić drugą stronę. Tutaj opisywałam przede wszystkim jej emocje i doświadczenia, do których ma pełne prawo. Natomiast, żeby dać czytelnikom kontekst, zamieściliśmy na końcu książki dużo wyroków wraz z komentarzem prawnika, mec. Grzegorza Czekaja. Sama nie chciałam analizować orzeczeń; przedstawiałam fakty. Bożena nie stoi już u steru firmy. Ten upadek widziała właśnie tak, jak mi go opowiedziała.

Mówiła ci: „Dziś wokół mnie jest cisza”. A przecież wszyscy pamiętamy jej przyjaźń z Jolantą Kwaśniewską, to, że wysyłała torebki w prezencie pierwszym damom, Laurze Bush, Ludmile Putin. Przyjaźniła się ze znanymi aktorkami. Jak wyglądają dziś jej relacje z tymi znanymi osobami?

Widywałam się z Bożenką wiele razy w 2024 roku, zawsze w jej domu w Gdyni. Byłam świadkiem, jak pewnego dnia

zadzwoiła Jolanta Kwaśniewska, by zapytać, jak się czuje. Gdy rozmawiałam z panią Kwaśniewską do książki, powiedziała mi, że jest w kontakcie z Bożenką od wielu lat. Dowiedziała się o stracie firmy bezpośrednio od Bożeny; była wstrząśnięta, poruszona, nie mogła w to uwierzyć. Z niektórymi znanymi kobietami Bożena wciąż utrzymuje kontakt. Wiem, że spotkała się z Kasią Figurą, która napisała blurb do naszej książki. Natomiast z wieloma artystkami, businesswomen, kontakt się urwał. Sama Bożena tłumaczy, że kiedy była w tej czarnej dziurze depresji, przez lata po utracie firmy, po prostu nie była w stanie prowadzić rozmów, utrzymywać relacji. Wokół niej została wtedy tylko garstka najbliższych. Wstydziła się swojego upadku i to też oddzielało ją od dawnych znajomych.

Uważasz, że ona dziś nadal jest ikoną stylu? Czy raczej zwyczajną kobietą, która chce żyć w spokoju?

Obie odpowiedzi są prawdziwe. Bożenka wciąż ma rozpoznawalność. Wywiad z nią na YouTube, przeprowadzony przez Mateusza Szymkowiaka do Świata Gwiazd, obejrzało ponad sto dwadzieścia tysięcy

osób. Kilka dni temu ktoś napisał w komentarzu: „Jednego tej pani nie odebrano - klasy i stylu”. I ja się z tym zgadzam. Bożenka nadal wygląda świetnie. Śmiejemy się, że kupuje ubrania nie u projektantów, ale w sieciówkach, a i tak wygląda jak milion dolarów. Nadal nosi swoją kultową czerwoną szminkę, choć już nie luksusowej marki. Ma znakomity styl i bizuterię, swój firmowy uśmiech i wyraziste rysy; po prostu jest piękną kobietą. Dlatego niektórym trudno uwierzyć, że naprawdę straciła wszystko. Z drugiej strony, bardzo jasno sygnalizuje, że chce już tylko spokoju i bezpieczeństwa. Teraz, przy okazji premiery książki, pojawiła się w podcastach, w telewizji śniadaniowej, w mediach i bardzo się z tego cieszymy. Ale ona sama powtarza, że to tylko chwilowa przygoda. W życiu naprawdę pragnie bezpieczeństwa i spokoju.

Nie obawialiście się ryzyka, że ta książka spowoduje, iż znów zaczną ją oceniać i to niekoniecznie pozytywnie?

Oczywiście, zawsze istnieje takie ryzyko. Ale pojawia się bardzo wiele wspierających, rozumiejących, inspirujących i współczujących głosów. To są

niezwykle ważne słowa. Krytyka jest czymś naturalnym. Wiedzieliśmy, że odbiór będzie różnorodny. Byliśmy na to przygotowani, czy to w odniesieniu do mojego pisania, czy do powrotu Bożenki jako bohaterki książki. Po prostu wzięliśmy to na klatę.

Batycka zaufała ci od samego początku.

Tak myślę. I to pokazuje tę jej cechę, o której sama często mówi, że bywa zbyt ufna. Zaufała mi od razu. Otworzyła przede mną dom, zaprosiła mnie do siebie, zaczęła mówić bardzo prywatne rzeczy. To zaufanie z czasem oczywiście rosło, ale od początku czułam, że dała mi go naprawdę dużo.

W książce przy okazji jej biografii, pokazujesz także historię Polski lat 90., tych naszych marzeń i pułapek kapitalizmu. Traktujesz to jako dodatkową wartość książki?

Bardzo mi na tym zależało. Super, że o to pytasz. Chciałam, żeby w tle wybrzmiał klimat tamtych czasów. Bożenka sama mówi, że w bardzo symbolicznym momencie dołączyła do firmy, bo w 1989 roku, kiedy to wszystko stało się możliwe. Mogła wtedy jeździć do Włoch po skóry, mogła otworzyć oddział w Dubaju; przez pewien czas sprzedawała tam torebki Batycki. To nie byłoby możliwe bez transformacji 1989 roku, bez wolnej, demokratycznej Polski. Mam nadzieję, że w książce czytelnik odnajdzie ten kontekst: wielkie marzenia transformacji, ale też zagrożenia. Bo pojawienie się sieciówek stało się ogromnym wyzwaniem dla firm kaletniczych, dla rękodzieła. Ta opowieść to także obraz tamtej epoki.

Twoje bohaterki, bo przecież to nie jest twoja pierwsza książka, często są wojowniczkami. W czym Bożena Batycka jest do nich podobna, a w czym inna?

Ostatnio sama o tym pomyślałam, że Bożena Batycka także jest wojowniczką. Każda z bohaterek mojej książki „Wojowniczkach”. Jak czule zawalczyć o siebie” przeszła pewien rodzaj transformacji, zaczęła walczyć o siebie, o zdrowie, o dziecko, o związek. Było w tym dużo walk. I Bożena również walczy, choć ta walka może mieć różne oblicza. To walka o spokój, o szczęście, o to, by jej życie stało się bezpieczne i pełne pięknych momentów. Jednocześnie walczy o zdrowie swojego młodszego syna, Grzegorza, który jest osobą chorą i z niepełnosprawnością. Z jednej strony radzi sobie, z drugiej, dla matki opieka nad dorosłym chorym dzieckiem zawsze jest ogromnym wyzwaniem. Bożena walczy o poczucie bezpieczeństwa i własne szczęście. Robi to w sposób łagodny, ale konse-

kwentny. I dlatego dla mnie ona naprawdę jest wojowniczką. Spokojnie mogłaby znaleźć się obok bohaterek mojej wcześniejszej książki.

Masz torebkę Batycki?

To był chyba jeden z piękniejszych momentów ubiegłego roku. Kiedy skończyłyśmy pisać książkę, Bożenka podarowała mi dwie torebki z czasów, kiedy stała u steru firmy. Były piękne, solidne, świetnej jakości. Jedną z nich zabrałam na premierę książki i to było poruszające. Bożenka wciąż ma swoje torebki sprzed lat i je nosi. To przepiękne, ponadczasowe modele, unikatowe, wykonane z genialnej jakości skór.

Co w tej historii Bożeny Batyckiej ciebie samą nauczyło, jako reporterkę i jako kobietę? Jaką lekcję z tej historii wyciągnęłaś?

Będzie trochę melancholijnie. Po pierwsze i sama Bożena to powtarza, można człowiekowi zabrać wszystko, materialnie można stracić cały majątek, ale jeśli ktoś ma hart ducha i potrafi przetrwać najtrudniejsze momenty, to jego osobowość, styl, charakter zostają. Po drugie, i to smutniejsza lekcja, żałuję, że muszę to powiedzieć, ale nie zawsze warto ufać ludziom. Szczególnie w biznesie; tam na pewno nie warto.

Nie bałaś się procesu po wydaniu tej książki? Podobno dostawaliście groźby?

Nie, nie bałam się. Opowiadałam losy kobiety, jej historię; to biografia. A mówimy o kimś, kto przez lata był moją idolką. Pamiętam, jak czytałam Twój Styl ponad 20 lat temu; Bożena była wtedy ikoną stylu, biznesu. Piękna, charakterystyczna, charyzmatyczna, uwielbiana, świetnie wykształcona. Zawsze mi imponowała. Zanim książka się ukazała, obie z Bożeną dostawałyśmy bardzo brzydkie wiadomości w mediach społecznościowych. Ciekawe, że osoby, które nie znały treści książki, już pisały, że jest niewłaściwa. Padły obrzydliwe słowa pod adresem Bożeny. Na premierze też pojawiło się kilka osób, które wołałyby raczej, żeby ta książka się nie ukazała. Czułam te naciski. Nie pozdrawiam tych osób. Idę dalej.

KSIĄŻKA



Bożena Batycka, Magdalena Kuszewska, „Batycka”. Gorzki smak sukcesu” Wydawnictwo: Otwarte

Jak PRL zmuszała do fetowania oprawców

W precyzyjnie wykoncypowanej siatce świąt i obchodów PRL-u swój dzień mieli także funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa

Mariusz Grabowski

Tego dnia społeczeństwo miało manifestować swoje przywiązanie do tych, którzy „stali an strażą porządku i ładu socjalistycznej ojczyzny”. Chciano, by wizerunek milicjanta i wspierających go służb był pozytywny i że pełnił wyłącznie rolę „instytucji opiekuńczej”. Ale też, że w chwilach zagrożenia nie zawahają się pokazać się.

Gradacja ważności

W gradacji świąt 7 października nie był umieszczony najwyżej. Znacznie ważniejsze politycznie były Narodowe Święto Odrodzenia Polski, obchodzone 22 lipca, 1 Maja, czy Rocznica Rewolucji Październikowej wypadająca w Polsce 7 listopada. Mogło się mierzyć od biedy z Dniem Ludowego Wojska Polskiego 12 października.

Ale sytuowało się za to znacznie wyżej niż np. Święto Kosmosu i Aeronautyki, które obchodzono 14 kwietnia, Dzień Kobiet 8 marca, Dzień Matki 26 maja czy Międzynarodowy Dzień Dziecka 1 czerwca. Choć na tym ostatnim nierzadko pojawiali się milicjanci w galowych mundurach, wizytując w tym dniu szkoły czy akademie.

Święto MO i SB reprezentowało niezliczone święta z gatunku „branżowych” i było z nich zdecydowanie najważniejsze. Nijak miały się doń Dzień Odlewніка 10 grudnia, Pocztozca 9 października, Włókniarza 9 stycznia czy Nauczyciela 14 października.

Na Górczynie uroczystości

Święto MO i SB nigdy nie było spektakularne, przeciwnie – odbywało się nieco dyskretnie i raczej kameralnie, choć w propagandowym anturazju. Podczas tego święta organizowane wewnątrzresortowe akademie i dekorowano funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa odznaczeniami państwowymi.

Elementem widowiskowości uatrakcyjnione były uroczystości w 1974 r., gdy Szkole Podstawowej nr 10 w Poznaniu na Górczynie (dawniej św. Stanisława Kostki) nadano



Święto MO i SB nigdy nie było spektakularne, przeciwnie – odbywało się nieco dyskretnie i raczej kameralnie, choć w propagandowym anturazju

imię Milicji Obywatelskiej. 10 października zjechała się lokalna wierchuszka partyjna i resortowa, przemawiano, dzieci wręczały kwiaty zasłużonemu funkcjonariuszom, a wszystko filmowała poznańska ekipa TV.

Zachowane zdjęcia przypominają klimat tamtego wydarzenia. Prężą się milicjanci w hełmach i z bronią, obok harcerze i harcerki, a kadra oficera salutuje świeżo wmurowaną w ścianę szkoły tablicę z orłem i napisem: „Szkoła Podstawowa nr 10 im. Milicji Obywatelskiej”.

Pomnik w Czerwonaku

Dekadę później, 7 października 1984 r., Święto MO i SB zaakcentowano w podobny sposób: w wielkopolskim Czerwonaku (naprzeciwko ówczesnego komisariatu MO) odsłonięto Pomnik „Poległych i pomordowanych za wolność tej ziemi”. Miał upamiętniać funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej z Czerwonaka i okolic, po-

ległych w walce z hitlerowcami 16 lutego 1945 r.

W zbiorach tamtejszego Gminnego Ośrodka Kultury można do dziś odczytać złożoną w latach 80. relację Leszka Jakubowskiego – syna zamordowanego w 1945 r. milicjanta: „Pomnik, który stoi przy głównej ulicy Czerwonaka, odsłonięty w dniu 7 października 1984 roku w rocznicę Święta Milicji Obywatelskiej niech będzie symbolem pamięci nie tylko poległych – tych 9-ciu milicjantów w Czerwonaku, ale wszystkich poległych ludzi cywilnych, żołnierzy i milicjantów, którzy oddali swe życie we wszystkich walkach za wolną i niepodległą ojczyznę. Wysoki 9-cio metrowy Pomnik niech przypomina wszystkim przechodniom jak straszna jest każda walka i wojna, niech spowoduje żeby ludzie żyli zawsze w pokoju i bezkonfliktowo”.

„To nasi chłopcy!”

Sięgnijmy do genezy święta. 7 października 1944 r. Polski Ko-

mitet Wyzwolenia Narodowego wydał dekret o Milicji Obywatelskiej. Został on zatwierdzony 15 sierpnia 1944 r. przez Krajową Radę Narodową. W „Rzeczypospolitej”, organie prasowym PKWN pisano: „My tworzymy Milicję Obywatelską. Nazwa nie jest przypadkowa. Milicja musi być naprawdę obywatelską milicją i wszystkie jej poczynania w kierunku zapewnienia bezpieczeństwa publicznego, znajdują poparcie ze strony społeczeństwa”.

Milicję włączono w skład powstałego 21 lipca 1944 r. Resortu Bezpieczeństwa Publicznego, który pod koniec tego roku został przekształcony w Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Ogniwem kierującym była Komenda Główna MO, na czele której stanął gen. bryg. Franciszek Jóźwiak „Witold”, zasłużony przedwojenny komunist, późniejszy członek Biura Politycznego Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, przewodniczący Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej i poseł na Sejm Ustawodawczy i Sejm PRL I kadencji. W 1949 r. zastąpił go gen. bryg. Józef Konarzewski.

Ramię w ramię

Pod względem terytorialnym organizacja Milicji dostosowana była do podziału administracyjnego kraju. Na poziomie centralnym funkcjonowała Komenda Główna, a w terenie komendy wojewódzkie, powiatowe, miejskie i dzielnicowe. Na najniższym szczeblu działały posterunki. Milicjanci przeznaczeni byli do ochrony „bezpieczeństwo ludzi i mienia oraz do utrzymywania bezpieczeństwa i porządku publicznego”.

Ale MO, formacja zbrojna i zorganizowana, niemal od początku wykorzystywana była do działań wojskowo-politycznych. Do końca lat 40. XX wieku terenowe jednostki MO wraz z oddziałami Ludowego Wojska Polskiego, Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Wojsk Ochrony Pogranicza, Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej podporządkowane były wojewódzkim komisjom bezpie-

czeństwa, podległym Państwowemu Komisji Bezpieczeństwa.

W latach 1944-1948 Milicji Obywatelskiej używano do walki z partyzantką niepodległościową, a także z Ukraińską Powstańczą Armią i niemieckim Werwolfem.

Innej milicji nie ma

Jak czytamy w tomie „Historia PRL. Polityka, ludzie, życie codzienne” (Warszawa 2009) „Milicja składała się początkowo głównie z byłych partyzantów Armii Ludowej, żołnierzy oddelegowanych z Wojska Polskiego, członków Polskiej Partii Robotniczej, a także Polskiej Partii Socjalistycznej i Stronnictwa Ludowego”.

W innym miejscu: „Funkcjonariuszami MO zostawali także byli członkowie podziemia (np. Armii Krajowej) starający się w ten sposób zapewnić sobie wpływ na życie codzienne. Zdarzało się nawet, że w całości posterunki były akowskie, przynajmniej w początkach tworzenia władzy ludowej”. Z czasem nastąpił napływ ludzi, którzy widzieli swoją przyszłość w formacji pilnującej porządku i bezpieczeństwa w kraju”.

Początkowo oznaką służbową funkcjonariuszy MO była tylko biała-czerwona opaska z odpowiednim napisem. W 1946 r. wprowadzono dla milicjantów mundur kroju wojskowego z chabrową barwą służby na otoku i patkach w kolorze błękitnoszarym.

W jednej komendzie

Jak to się stało, że przy Milicji Obywatelskiej pojawiła się też Służba Bezpieczeństwa? W listopadzie 1956 r., ustawą Sejmu PRL, dotychczasowe organy policji politycznej (w ostatnim stadium Komitet ds. Bezpieczeństwa Publicznego) zostały ostatecznie przekształcone w Służbę Bezpieczeństwa. Ta z kolei została związana instytucjonalnie z Milicją Obywatelską.

We wszystkich komendach MO utworzono stanowiska zastępców komendantów MO ds. SB. Funkcjonariuszy połączono tymi samymi mundurami oraz stopniami służbowymi, sprytnie ukrywając w ten sposób

fakt, że SB stała się niejako „formacją w formacji”.

Zadania Służby Bezpieczeństwa praktycznie nie różniły się niczym od zadań poprzedzających ją formacji: polegały one przede wszystkim na ochronie systemu komunistycznego wewnątrz kraju poprzez kontrolowanie i przenikanie do wszystkich struktur życia społecznego w Polsce, a następnie za granicą; zwalczaniu opozycji, w represjach wobec uczestników demonstracji i strajków; tłumieniu demonstracji, m.in. w czasie wydarzeń marca 1968 r., grudnia 1970 r. na Wybrzeżu, czy w czasie wypadków czerwcowych 1976 r.

„W dniu waszego święta”

Dla przeciętnego obywatela Polskiej Ludowej MO było więc nierozdzielnie sprzęgnięte z SB, a milicjant pilnujący porządku na co dzień z funkcjonariuszem zajmującym się tropieniem politycznych nieprawomyślności. W dniu 7 października obaj odbierali laury od wdzięcznego społeczeństwa.

Na stronie katowickiego IPN-u można znaleźć skany depesz, laurów i listów wysyłanych do placówek MO i SB. Niektóre są zabawne, inne śmiertelnie poważne. Jeszcze inne przesiąknięte doktrynalnym zaangażowaniem. „W dniu waszego święta życzenia dla ciebie i wszystkich pracowników przesyła z Krynicy – Marek”. „W dniu waszego święta proszę przyjąć towarzyszu komendancie wiele serdecznych pozdrowień i najlepszych życzeń – Balbina Semczuk”. Zdarzały się wiersze:

„Milicjant to naprawdę
Przyjaciel nasz bliski
Przyjaciel – który myśli
Życzliwie o wszystkich”.

Po 6 kwietnia 1990 r. czyli likwidacji przez rząd Tadeusza Mazowieckiego MO i SB, formacja przeznaczona do ochrony bezpieczeństwa ludzi i mienia nie miała swojego oficjalnego święta. Dopiero w 1995 r. ustanowiono Święto Policji. Przypada 24 lipca, w rocznicę powołania w 1919 r. Policji Państwowej. SB przekształciło się w Urząd Ochrony Państwa.

pod PARAGRAFEM

W KINACH

Mroczny sekret z przeszłości

17 października do polskich kin wchodzi amerykańsko-włoski film „Po polowaniu”. Reżyserem jest Luca Guadagnino. To trzymający w napięciu dramat psychologiczny. Julia Roberts gra Almę Olsson, profesorkę w collegu, której życie jest na rozdrożu. Jedną ze studentek Maggie (Ayo Edebiri) wnosi oskarżenie przeciwko wykładowcy (Andrew Garfield).

ZA TYDZIEŃ

Kim był człowiek, który mordował łódzkich gejów?

Siedem ofiar w ciągu pięciu lat. Zamordowanych łączyło jedno – byli gejami. Zginęli od ciosów nożem, uduszeni, zakatowani w mieszkaniach.



FOT. CC

Pornokracja: Watykan pod znakiem władzy, seksu i pieniędzy

Z. Wierus, B. Piskała
redakcja@polskatimes.pl

X stulecie to wyjątkowo niechlubny okres w dziejach Watykanu. Nigdy wcześniej i nigdy później godność papieska nie była dalej od idei, które powinny przyświecać Kościołowi.

„Saeculum obscurum” („ciemne stulecie”) – tak nazywano niegdyś zapomniany dziś rozdział w historii Kościoła. Czasy owej watykańskiej pornokracji datuje się od początku rządów papieża Sergiusza III w 904 r. aż do przejścia Tronu Piotrowego przez Jana XII w 959 r. Oficjalnie. Bo choć wydawać by się mogło, że władzę dzierżyli papieże, w rzeczywistości za wszystkie sznurki w państwie pociągały nadożnice.

Sieć intryg

Trzy kobiety, które sprawiły, że Watykan, zdaniem kronikarzy, stał się domem publicznym, oprócz wyjątkowej rozwiązłości łączyło coś jeszcze – więzy krwi. Oblicze Świętego Miasta na niemal cały wiek zmieniły bowiem matka i jej dwie córki.

Jeszcze zanim na papieskim tronie zasiadł Sergiusz III, rzymska rodzina Tusculum, do której należały te trzy przebiegłe niewiasty, osiągnęła w Rzymie tak ogromne wpływy, że bez protekcji jej członków trudno było ubiegać się o papieski urząd. Głową przedsiębiorczej rodziny był Teofilakt, senator, głównodowodzący wojsk i zarządca finansów Stolicy Piotrowej. Kontrolował większość intryg snutych w watykańskich kuluarach. Mimo że w sieci politycznych gier Teofilakt radził sobie doskonale, z czasem okazało się, że żona i obie córki zdecydowanie przerastają go talentem do prowadzenia gier i politycznych interesów.

Znudzona Teodora

Początek ery sukcesów Teodory, żony wpływowego konsula, nastąpił wraz z początkiem pontyfikatu papieża Benedykta IV w 900 r., który – podobnie jak



Ślub Marozji i jej przyrodniego brata, Hugona z Arles. Jego poprzednie małżeństwo zostało unieważnione przez papieża Jana XI

jego następcą Stefan VI – objął urząd papieski wyłącznie dzięki protekcji rodziny Tusculanów. Średni czas trwania pontyfikatu wynosił w tym czasie niespełna półtora roku. Śmiercią naturalną umierali wtedy tylko szczęściarze. Bonifacy VI został otruty dwa tygodnie po wyborze na urząd papieski (niektórzy kronikarze podają, że zmarł na podagrę), Stefana VI uduszono.

Jego następcą Leon V także nie nacieszył się swoją władzą zbyt długo – Teodorze bowiem znudził się jego widok i zleciła pozbycie się go jednemu ze swoich współpracowników. Niektórzy badacze twierdzą, że morderstwa dopuścił się antypapież Krzysztof, który przejął schedę po papieżu Leonie. I podobnie jak Leonowi nie było mu dane zbyt długo cieszyć się nowo objętym urzędem. Kochliwa Teodora szybko znalazła sobie nowy obiekt westchnień – Sergiusza (przyszłego papieża Sergiusza III), hrabiego Tusculum. Notabene kuzyna swojego męża.

Córka w darze

Teofilakt z całą pewnością wiedział o romansach swojej żony, jednak nic nie wskazuje na to, żeby jakkolwiek przeszkadzała mu jej niewierność. Gra toczyła się bowiem o wyższą

stawkę. Mężczyzna nadał sobie tytuł obrońcy Kościoła i przejął rząd nad Państwem Kościelnym, a uzależniony od niego papież, spełniający wszystkie rozkazy żony Teofilakta, odgrywał rolę figuranta. Papież Krzysztof, poprzedni faworyt Teodory, sam się udusił na skutek wyrzutów sumienia, które dręczyły go po zabójstwie prawowitego papieża Leona V.

Nowo obrany papież Sergiusz III był tak układnym wykonawcą wszelkich rozkazów całej rodziny Teofilakta, że pozwolono mu żyć dłużej niż swoim poprzednikom (aż do 911 r.). Co więcej, udało mu się dotknąć czegoś, co w tamtych czasach uchodziło za niemożliwe – zmarł śmiercią naturalną, mimo że Teodora dość szybko przestała okazywać mu zainteresowanie. Aby nie popsuć kontaktów z wyjątkowo chętnie współpracującym papieżem, Teodora postanowiła... dać mu w prezencie swoją 15-letnią córkę Marozję. Dziewczyna, mimo młodego wieku, nie ustępowała swojej matce ani w knuciu politycznych intryg, ani w sztuce uwodzenia. Niedługo po tym, jak matka przekazała ją Sergiuszowi III, doczekali się syna Alessandra, który 20 lat później sam został papieżem.

„Wpadł do Tybru”

Podczas gdy Marozja skupiała się na omotaniu Sergiusza, Teodora miała już na oku młodszego od siebie kochanka, za którym – jak podają kronikarze – szalała. Jan z Tossignano, młody ksiądz i faworyt Teodory, dzięki jej protekcji szybko został biskupem Bolonii, a następnie arcybiskupem Rawenny. Teodora zaplanowała Janowi wygodną przyszłość na papieskim tronie. Jednak zanim udało jej się na dobre wprowadzić go na watykańskie salony, musiała znaleźć tymczasowego następcę zmarłego w 911 r. Sergiusza III.

Po nim nastąpiły więc dwa szybkie pontyfikaty Anastazego III (911-913) oraz Landy (913-914). I dwie szybkie „przypadkowe” śmierci tych dwóch papieżów. Anastazy III zmarł podobno wskutek ostrej niestrawności, papieża Landę spotkała inna przykra niespodzianka – po kilku miesiącach pontyfikatu „przypadkiem” potknął się podczas procesji i wpadł do Tybru. Kariera przyszłego Jana X mogła już więc przebiegać bez większych komplikacji.

Z użyciem poduszki

Janowi X także udało się dość długo (914-928) panować w Watykanie. Marozja uznała, że 13 lat

pontyfikatu to wystarczająco długo i zdecydowała, że już czas, by skutecznie się go pozbyć. I tak się też stało – niedługo po śmierci Teodory papież Jan X został uduszony poduszkami.

Taka jest oficjalna, choć niejedyna wersja wydarzeń – inne źródła mówią bowiem o tym, że Marozja i jej służące udusiły frywolnego papieża podczas grupowych miłosnych igraszek.

Następca Stefan VII

Marozja miała swój cel w pozbyciu się Jana X – planowała na Tronie Piotrowym posadzić swego syna. Nie był on jednak wystarczająco dorosły, stąd w Stolicy Apostolskiej pojawiało się kilku tymczasowych papieżów, między innymi Leon VI, którego pontyfikat trwał... od czerwca do grudnia 928 r. – zginął z rąk nieznanymi sprawców. Jego następcą Stefan VII (929-931) został uduszony, gdy tylko syn Marozji dojrzał na tyle, aby mógł wstąpić na papieski tron.

Nieliczni duchowni, którzy nie odeszli od ewangelicznych zasad, byli oburzeni tą nominacją. Choć w Rzymie widziano już wiele, do tej pory nie zdarzyło się, by głową Kościoła został mężczyzna urodzony z nielegalnego związku papieża i kobiety uważanej za prostytutkę. Ale także jemu jako Janowi XI nie udało się utrzymać władzy zbyt długo – jedynie przez cztery lata.

Król rozpusty

Po śmierci Jana XI to Alberyk II jako niekoronowany władca Rzymu decydował o tym, kto zasiądzie na papieskim tronie. Wybierał przede wszystkim pobożnych, ale też bardzo posłusznych starców. Dwaj pierwsi wybrani przez niego papież – Leon VII (936-939) oraz Stefan VIII (939-946) byli całkowicie podporządkowani Alberykowi. Nie inaczej było z kolejnymi – Marynusem II (942-946) i Agapitem II (946-955), który był tak zaangażowany w służbę Alberykowi, że odbierał od szlachty i duchowieństwa przysięgę, że papieski tron przejmie po nim Oktawian, syn Alberyka. I nie-

odrodny prawnuk Teodory – jako Jan XII Oktawian zastąpił bowiem jako jeden z najbardziej rozpustnych papieżów w historii Kościoła. Nawet Rudolf Fischer-Wollpert, zazwyczaj powściągliwy w swoich komentarzach autor „Leksykonu papieżów”, tak pisał o rządach Jana XII: „Ogólny sąd o tym pontyfikacie – nawet przy tak ogromnym zdżyczeniu obyczajów tego okresu – może być jedynie druzgocący: osiągnięto dno”.

Rodzi się nadzieja

70 lat po nagłej śmierci młodego Jana XII na papieskim tronie zasiadł... kolejny przedstawiciel rodu Tusculum – Benedykt IX. I swoim postępowaniem wielokrotnie przyćmiewał ekscesy swoich poprzedników. Gdy rozpoczynał pontyfikat, Benedykt IX miał (według oficjalnej wersji) 18 lub 16 (według nieoficjalnej). Gdy obejmował władzę nad Kościołem, był osobą świecką, jednak – jak udowodnił jego ojciec – dla chcącego nic trudnego. Alberyk III (dumny tatuś) wykorzystał wszystkie znajomości i jego syn w ciągu jednego dnia otrzymał zarówno święcenia kapłańskie, jak i sakrę biskupią.

Rzymianie darzyli Benedykta szczerą pogardą i kilkakrotnie próbowali się go pozbyć. W 1044 r. udało im się dopiąć swego – Benedykt salwował się ucieczką, a konkurujący z rodziną Tusculum ród Kresencjuszy wykorzystał nadarzącą się okazję i na Tron Piotrowy powołał swojego papieża – Sylwestra III.

Benedyktowi IX udało się odzyskać tron, choć Sylwester dalej uważał się za prawowitego papieża. Niebawem doszło do tego, że Watykanem zaczęli zarządzać aż trzech papieżów: Sylwester III, Benedykt IX i Grzegorz VI. Sytuację mógł poprawić jedynie przyjazd cesarza, który rozpedził niepokorne towarzystwo i mianował nowego następcę świętego Piotra. Dopiero on i jego następcy zaczęli mozolnie odbudowywać zrujnowany autorytet Kościoła.

Wywiad tygodnia Selekcjoner reprezentacji Polski w piłce nożnej Jan Urban specjalnie dla nas

Za długo siedzę w tym biznesie, żeby zapomnieć o porażkach kadry z rywalami z niższej półki

Rozmawiał Adam Godlewski
redakcja@polskapress.pl

W poniedziałek rozpoczyna się w Katowicach zgrupowanie reprezentacji Polski przed meczami z Nową Zelandią (towarzyski, 9.10 w Chorzowie) i Litwą (o punkty w eliminacjach MŚ, 12.10 w Kownie). Selekcjoner Jan Urban ma konkretny plan na to spotkanie z kadrowiczami i działa pod hasłem: stabilizacja. I wie, co konkretnie trzeba poprawić w naszym zespole.

Dlaczego zdecydował się pan na prawie identyczny zestaw personalny jak we wrześniu, ogłaszając premierowe powołania?

Bo w kadrze musi być stabilizacja. Przed meczami z Holandią i Finlandią włożyliśmy kawał roboty w selekcję i uważam, że była ona przeprowadzona co najmniej dobrze. Nikt z grupy powołanej na wrześniowe zgrupowanie nie zawiódł, a przynajmniej nie zawiódł w takim stopniu, aby stracić zaufanie sztabu szkoleniowego reprezentacji Polski. Zmiany personalne są spowodowane konkretnymi okolicznościami, Nikoli Zalewskiemu i Adamowi Buksiemu przytrafiły się kontuzje i na tę sytuację musiałem po prostu zareagować. Nowych zawodników też jest niewielu, też tylko dwóch. Michał Skóraś i Kacper Kozłowski występowali już w drużynie narodowej, nie są to więc nowicjusze, a obecnie grają w klubach regularnie, i w mojej ocenie grają dobrze. Na tyle, że zasłużyli na zaproszenie do reprezentacji. Dostali szansę, bo na nią po prostu zasłużyli.

Zmieniły się proporcje między pomocnikami i napastnikami. To ma znaczenie?

Mam świadomość, że zmiany nie nastąpiły jeden do jednego w poszczególnych formacjach, w październiku zaprosiłem więcej - o jednego - zawodników środka pola niż we wrześniu, a stało się to kosztem napastnika. Wszystko jest jednak pod kontrolą, grając tak jak gramy, nie potrzebujemy aż czterech atakujących. Przypomnę tylko, że na poprzed-



FOT. SYLWIA DĄBROWA/POLSKA PRESS

- Lewandowski jest piłkarzem światowej klasy, więc najlepiej nie przeszkadzać w zachowaniach, na które się decyduje

nim zgrupowaniu Krzysiek Piątek jedno ze spotkań obserwował z trybun. Zatem trzech napastników absolutnie nam wystarczy.

Nie wspominał pan o rozszarpieniu wśród bramkarzy...

...wspomniałem o dwóch nowych zawodnikach, mimo że tak naprawdę jest ich trzech, ale rzeczywiście tym razem jako czwartego bramkarza powołałem Kacpra Tobiasza z Legii Warszawa w miejsce Bartosza Mrozka z Lecha Poznań. Zastrzegam jednak z góry, że w kadrze na spotkanie ten czwarty golkeeper nie będzie uwzględniony. Jest on do pomocy, aby była większa płynność treningu. Można powiedzieć, że to członek szerokiej kadry, który nie zostanie wpisany do protokołu meczowego. Nie brałem pod uwagę przy tym dodatkowym powołaniu dla bramkarza Mateusza Kochalskiego, bo uważam, że byłoby to przesada, aby w takiej roli ściągać zawodnika z klubu zagranicznego. Będziemy stale zapraszać po czterech bramkarzy, ale to ostatnie miejsce jest zarezerwowane

dla zawodnika z PKO Ekstraklasy i przynajmniej w najbliższym czasie nic w tej kwestii się nie zmieni.

A ma pan już ustaloną hierarchię wśród bramkarzy? Gdy rozmawialiśmy przed pierwszym zgrupowaniem i w ogóle przed pierwszymi powołaniami, to zasłaniał się pan tym, że będą w tym obszarze decydowali trenerzy golkeeperów, których jest dwóch. Czy w tej chwili można powiedzieć, że Łukasz Skorupski jest numerem jeden w kadrze?

Uciekam od twardego stwierdzenia, jeśli chodzi o hierarchię wśród bramkarzy. Być może zmienię zdanie w przyszłości, kiedy będę przekonany do tego, że „jedyneką” jest na przykład Skorupski. Na dzień dzisiejszy jest tym bramkarzem, który ma największe szanse na występy w meczach o punkty. I na razie tak zostanie. Jeśli dojdziemy do wniosku, że jest potrzebna taka definicja, aby każdego z golkeeperów określić jedynką, dwójką czy trójką, to ogłosimy to. Na dzień dzisiejszy unikam tego świadomie, bo uważam,

ż umiejętności tych bramkarzy są bardzo do siebie zbliżone.

O co jest pan mądrzejszy po wrześniowym zgrupowaniu? Dowiedział się pan o robocie selekcjonera czegoś, czego wcześniej nie wiedział?

Wydaje mi się, że spodziewałem się wszystkiego, co się wydarzyło. Przeżyłem to na własnej skórze, że - kurczę - bardzo mało jest czasu na to, żeby wpoić taktykę zawodnikom, przekazać im coś w praktyce. Trzeba w każdym momencie starać się przemyśleć jakieś aspekty strategii, tego co chcemy, żeby drużyna grała, w jakim kierunku szła. Oczywiście jest czas, żeby robić różnego rodzaju odprawy, przekazy filmowe, rozmowy. Natomiast jeśli chodzi o tę praktykę - jest ogromny problem. Zakładam, że na październikowym zgrupowaniu będzie większy komfort o tyle, że jedno z tych spotkań jest meczem sparingowym.

Przed październikowym zgrupowaniem pracował pan

z młodszymi zawodnikami. W szatni jest na pewno bardzo ważną osobą, zwłaszcza dla tych, którzy zaczynają swoją przygodę z reprezentacją.

Co zechce pan najbardziej poprawić podczas tego zgrupowania? Powtarzalne schematy rozegrania czy stałe fragmenty?

Stale fragmenty. Mamy zawodników z niezłymi warunkami fizycznymi do tego, aby być groźnym zespołem przy rzutach wolnych i różnych - nie tylko stoperów, bo dochodzi jeszcze Robert Lewandowski. W komplecie są to zawodnicy, którzy grają naprawdę dobrze głową. Ale przede wszystkim chciałbym poprawić płynność gry, bo mimo tego, że wygraliśmy i kontrolowaliśmy całe spotkanie z Finlandią, to mnie tej płynności brakowało. Będziemy do tego dążyć, aby każdy z zawodników nabierał jeszcze większej pewności siebie, mając częstszy kontakt z piłką. I pracować oczywiście nad organizacją gry, bo można było się przyczepić na pewno do tego po meczu z Finlandią, a przynajmniej ja się czepiam. Zwłaszcza pressing w spotkaniu z Finlandią w wielu momentach po prostu nie był dobrze zorganizowany. Pozwalaliśmy za często na łatwe wyprowadzenie piłki z defensywy drużynie rywali.

Nowa Zelandia to dobry sparingpartner, żeby to wszystko przećwiczyć, o czym pan mówi?

Trudno powiedzieć, bo nie znamy tej drużyny dobrze. Tam gra wielu zawodników z ligi australijskiej i z angielskiej Championship, trenerem jest zresztą Anglik. Tak naprawdę nie jest to jednak aż takie ważne, bo musisz potrafić grać z każdą drużyną, niezależnie od jej stylu gry. Oczywiście, analizy byłyby dokonane i zostaną przedstawione zawodnikom, natomiast na tym etapie budujemy zajmujemy się przede wszystkim własną drużyną i chcemy wykorzystać okazję do testów. Podejrzewam zresztą, że tak samo jest w Nowej Zelandii. Oni już mają zapewniony awans do mistrzostw świata, więc

podobnie jak przed miesiącem? Też było dużo podróży do klubów, wiele rozmów z zawodnikami?

Było dużo wyjazdów na mecze. Wysyłałem członków sztabu w różne miejsca. Ja częściej poruszałem się po krajowych boiskach, inni trenerzy intensywnie podróżowali za granicę. I naprawdę utwierdziłem się w przekonaniu, że selekcja przed zgrupowaniem wrześniowym była całkiem dobra. Dlatego ta reprezentacja nie zmienia się bardzo.

Jest pan zadowolony nawet z Kamila Grosickiego? Czyżby bardziej potrzebny w tej drużynie był jako atmosferowicz niż na boisku?

Przed wszystkim chcę skorzystać z doświadczenia Kamila. Co to oznacza? To, że powinien nam pomóc przede wszystkim w trudnych momentach. Wydaje mi się, że w meczach, w których wszystko jest rozstrzygnięte, jego rola na boisku może być znikoma. Natomiast poza boiskiem - oczywiście, oczekuję, że będzie przekazywał doświadczenie w kontaktach

spróbują różnych wariantów, sprawdzą różnych zawodników. To w meczach sparingowych jest naturalne.

Po pierwszym zgrupowaniu wystąpił efekt Urbana. Zbudował pan kilku zawodników, a najlepszym tego przykładem jest Kuba Kamiński. W jaki sposób dotarł pan do niego?

Każdy trener ma swój styl pracy i przekazu do zawodników. Jeśli dziennikarz stojący z boku zaobserwował, że zawodnicy mają większą pewność siebie, to mnie jako trenera to cieszy. Bo właśnie do tego dążę. Uważam, że najlepszy zawodnik to przede wszystkim zdrowy zawodnik i pewny siebie. Mental jest niesamowicie ważny, bo pracując nad głową, możesz wyciągnąć to, co każdy z piłkarzy ma najlepszego. Dlatego przywiązuję naprawdę dużą wagę do tego aspektu. Choć z góry wiadomo, że najlepszym sprawdzianem efektywności mojej roboty będzie... porażka. Bo jak wygrasz, to atmosfera z autematu jest zdecydowanie lepsza i drużyna bardziej wierzy w to, co chce zaproponować trener. Natomiast po porażce widzisz, jak reagują zawodnicy, w jaki sposób się zachowują, czy nie stracili zaufania. Bo mecz można przegrać nawet grając dobrze, taką jest piłka nożna. Oczywiście, aby była jasność - nie spieszo mi do takiego sprawdzianu.

Do tej pory dał pan zadebiutować tylko Przemkowi Wiśniewskiemu. Czy teraz możemy się spodziewać debiutów Jana Ziółkowskiego i Arkadiusza Pyrkę?

Nie ukrywam, że w meczu kontrolnym z Nową Zelandią chciałyby - po tym, jak zagraliśmy dwa spotkania w tym samym składzie we wrześniu - zobaczyć w akcji zawodników, który na poprzednim zgrupowaniu nie byli piłkarzami pierwszego wyboru. Zobaczymy, jak to wszystko się poukłada, i kto ile minut dostanie, ale widziałem, że Ziółkowski czy Pyrka bardzo chcą grać. Zresztą, wielu kadrowców po prostu się spodziewa, że teraz dostaną szansę, aby się pokazać. Będzie ku temu okazja.

Będzie też szansa, żeby przetestował pan inne ustawienie zespołu, z czteroosobowym blokiem w obronie?

Oczywiście myślimy, aby spróbować czegoś nowego. Może nie od początku, ale w trakcie spotkania spróbujemy coś zmienić. Ustawienie z trzema stoperami nie jest docelowo, ale z drugiej strony zawsze mówiłem, że nie możemy od niego uciekać. Na teraz doszliśmy do wniosku, że jednak mimo wszystko jest to bardziej skonsolidowana obrona,

znana przez zawodników. Bardziej sensowna niż szukanie na siłę czegoś nowego. Cały czas poszukujemy przede wszystkim typowego lewonożnego obrońcy, który by się przydał, aby zagrać w czwórce. Natomiast na dziś to, co żeśmy zaproponowali - sprawdziło się.

Poczuł pan krew? Widzi pan kontakt z Holandią? Wszystko na zgrupowaniu będzie podporządkowane temu, żeby przygotować się na ogranie rywala z Niderlandów w listopadzie?

Nawet nie będę poruszał tego tematu na tym zgrupowaniu! Dla nas najważniejszy jest teraz mecz z Litwą. Idziemy krok po kroku. Na pewno wielu zawodników dostanie swoją szansę, żeby się pokazać w tym pierwszym spotkaniu sparingowym, ale najważniejszy jest mecz o punkty. Wygramy jeden zero i będzie super. Wygramy dwa zero, będzie jeszcze lepiej. Wygramy wyżej - będzie znakomicie. A ja wiem bardzo dobrze, że to nie przyjdzie łatwo. Obserwując zespół litewski - on jest całkiem dobrze zorganizowany. Przeciwnicy mają dużo argumentów, jeśli chodzi o stałe fragmenty gry. Mają dobre przejście z defensywy do ofensywy. Ktoś powie, że to jest tylko Litwa, rywal nisko notowany. Ale ja w ten sposób do piłki nożnej nie podchodzę, bo za długo siedzę w tym biznesie, żeby zapomnieć o porażkach reprezentacji Polski z zespołami z niższej półki. Mieliliśmy swoje problemy w niejednej z takich konfrontacji. Dlatego nie można nawet w małym procencie kogoś zlekceważyć, albo za szybko uwierzyć, że mecz wygrasz. Najgorsze byłoby, gdybyśmy nabrali przekonania, że już mamy zapewnione drugie miejsce i myślimy tylko o Holandii. Nie, to drugie miejsce trzeba sobie wywalczyć. A jeśli pojawi się szansa na coś więcej, wtedy będziemy nad tym debatować.

Nie uległ pan medialnej presji w kwestii powołania Oskara Pietuszczyńskiego. Rozważał pan w ogóle powołanie utalentowanego nastolatka z Jagiellonii Białystok?

Oskar był pod obserwacją, był brany pod uwagę przy ewentualnym zaproszeniu do szerokiej kadry. Powiem tak - oby ten 17-latek okazał się polskim Laminem Yamalem. I szczerze przyznam, że podziwiam tego chłopaka, bo ma predyspozycje do gry.

Litwini mają dużo argumentów, jeśli chodzi o stałe fragmenty gry. Mają też dobre przejście z defensywy do ofensywy

na naprawę świetnego piłkarza i już broni się grą w lidze i europejskich pucharach. Dodatkowe obciążenia i emocje związane z powołaniem do pierwszej reprezentacji nie są jednak Pietuszczyńskiemu w tym momencie potrzebne. Stąd taka, a nie inna decyzja. Będzie mógł się sprawdzić w młodzieżowych w troche trudniejszych meczach niż we wrześniu, ale ktoś z boku - ktoś bardziej doświadczony od tego utalentowanego nastolatka - musi czuć, aby nie był eksploatowany za mocno. Wspomniany Yamal jest za mocno eksploatowany i już ma swoje problemy zdrowotne. A dla mnie, co powtarzam za każdym razem, najlepszy zawodnik to zdrowy zawodnik.

Jest pan zmartwiony, że Piotr Zieliński tak mało gra w tym sezonie?

Trudno, żeby nie był... Piotrek pokazał się w ostatnim spotkaniu Ligi Mistrzów i to na pewno cieszy. Na dziś nie widzę żadnego problemu w tym, żeby był w reprezentacji i grał. Natomiast na dłuższą metę mam nadzieję, że będzie dostawał więcej minut w klubie - w Interze, albo gdzieś indziej.

Nie korciło pana, żeby, przestawić Lewandowskiego za plecymi dziewiątki? Nasz kapitan bardzo często - sfrustrowany - szuka piłki w środkowej strefie...

Jeśli dojdziemy do wniosku, że w ten sposób potencjał naszej drużyny się powiększy, to tak zrobimy. Z całym sztabem rozmawiamy o różnych opcjach, o zmianie systemu, o zmianie pozycji niektórych zawodników. I doszliśmy już do wniosku, że wskazana by była większa rotacja między napastnikami. Pamiętamy dobrze parę Arek Milik - Lewandowski, która funkcjonowała naprawdę bardzo dobrze u Adam Nawalki. Raz jeden był na dziewiątkę, raz drugi, ustawiali się poziomo albo pionowo w ataku, w zależności od przeciwnika albo sytuacji na boisku. I to świetnie funkcjonowało, ale do każdego systemu są potrzebni wykonawcy. Jeśli uznamy, że potrzeba nam dwóch egzekutorów i mamy odpowiednich ludzi do tego, aby odpowiednio ich obsłużyć w polu karnym, to pójdziemy w tym kierunku. Tylko postawmy sprawę jasno - ustawienie wyjściowe jest umowne, a potem wydarzenia na boisku i tak je weryfikujemy.

Szybko złapał pan z Lewandowskim wspólny język. Nigdy wcześniej nie miałem kontaktu z Lewandowskim, dopiero teraz, kiedy jestem trenerem reprezentacji, spotkaliśmy się, ale moje relacje

z Robertem - i z każdym z pozostałych reprezentantów - są po prostu normalne... On jest zawodnikiem światowej klasy, więc najlepiej nie przeszkadzać w zachowaniach, na które się decyduje. Bo sam wie znakomicie, co ma robić.

Rozumiem, że panu łatwiej przejść do porządku dziennego - niż poprzednikowi - nad urlopem kapitana w trakcie czerwcowego zgrupowania, bo pamięta pan, kto... był pierwszym kadrowcem, który zdecydował się na taki urlop?

No właśnie nie pamiętam, ale rozumiem, że na myśli ma pan mnie. Nie było to nic nadzwyczajnego, bo nie utknęło mi w pamięci, ale Romek Kosecki też twierdzi, że byłem tym pierwszym, więc pewnie tak się zdarzyło.

Owszem, podczas kadencji Andrzeja Strejlaua. Inna sprawa, że były to inne czasy, inna piłka, selekcjonerzy byli przyzwyczajeni do długich (przed)wakacyjnych zgrupowań, bo znakomita większość kadrowców występowała w krajowych klubach.

Dlatego nie ma sensu tego porównywać. Okoliczności były na pewno inne, w czasach transformacji ustrojowej i świeżo otwartych granic, wszyscy - łącznie z trenerami - uczyliśmy się, jak powinna funkcjonować drużyna narodowa oparta w znacznie większej części niż wcześniej, a nawet w większości, na piłkarzach na co dzień występujących w ligach zagranicznych. Zresztą, nie ma dziś sensu szukać dziury w całym, lepiej patrzmy już wyłącznie do przodu. Teraz najważniejszy jest mecz z Litwą.

PIŁKARZE POWOŁANI PRZEZ JANA URBANA NA MECZE Z NOWĄ ZELANDIĄ I LITWĄ:

bramkarze:

Bartłomiej Dragowski (Panathinaikos), Kamil Grabara (VfL Wolfsburg), Łukasz Skorupski (Bologna FC), Kacper Tobiasz (Legia Warszawa);

obrońcy:

Jan Bednarek (FC Porto), Matty Cash (Aston Villa), Tomasz Kędziora (PAOK), Jakub Kiwior (FC Porto), Arkadiusz Pyrka (FC St. Pauli), Przemysław Wiśniewski (Spezia Calcio), Paweł Wszolek (Legia Warszawa), Jan Ziółkowski (AS Roma);

pomocnicy:

Przemysław Frankowski (Stade Rennais), Kamil Grosicki (Pogoń Szczecin), Jakub Kamiński (1.FC Koeln), Bartosz Kapustka (Legia Warszawa), Kacper Kozłowski (Gaziantep FK), Jakub Piotrowski (Udinese Calcio), Michał Skóraś (KAA Gent), Bartosz Slisz (Atlanta United), Sebastian Szymański (Fenerbahce SK), Piotr Zieliński (Inter)

Napastnicy:

Robert Lewandowski (FC Barcelona), Krzysztof Piątek (Al-Duhail SC), Karol Świąderski (Panathinaikos AO).

Nowa Zelandia. Wszystko wiruje wokół Chrisa Wooda

Jaromir Kruk
redakcja@polskapress.pl

Na mundial w 2010 roku Nowa Zelandia leciała w roli outsidera. W RPA Kiwi co prawda nie dostali się do 1/8 finału, ale nie przegrali z żadnym z przeciwników...

Najmłodszym zawodnikiem w zespole Ricki Herberta był Chris Wood, wówczas 19-letni napastnik West Bromwich Albion, który drugą część sezonu 2009/10 spędził na wypożyczeniu w Barnsley. Wtedy wróżyło mu dużą karierę, 15 lat później można napisać, że spełnił oczekiwania, bo po długim czasie wraca na mundial.

Bardzo dobrze zbudowany, świetnie grający głową Wood przebił się kilka sezonów w Championship, w Premier League zadebiutował w sezonie 2010/11 (West Bromwich Albion), pierwszego gola zdobył w cyklu 2014/15 (Leeds United), a od 2017 roku gra już w elitarnych rozgrywkach regularnie. Osiągał w nich dwucyfrową liczbę trafień w barwach Burnley (2017/18 - 10, 2018/19 - 10, 2019/20 - 14, 2020/21 - 12) i Nottingham Forest (2023/24 - 14, 2024/25 - 20), w sumie dla 4 klubów uzyskał 91 goli.

Wood przez lata nie zaniebował też reprezentacyjnych obowiązków, bił rekordy w kadrze seniorów, a olimpijskiej pomógł w dwóch igrzyskach - w 2012 i 2021 roku. W tym drugim Kiwi byli o krok od strefy medalowej, ćwierćfinał przegrali po konkursie rzutów karnych z Japonią, Wood trafił ze swojej jedenastki, jego dwaj koledzy nie wytrzymali ciśnienia. We wcześniejszych spotkaniach as Nowej Zelandii zdobył 2 gole, a na boisku i poza nim zachowywał się jak lider, co się nie zmieniło.

Niektórzy traktują ekipę prowadzoną przez Darrena Bazeleya nieco z przymrużeniem oka, ale Nowozelandczycy nieraz pokazali, że trzeba na nich uważać. W składzie na październikowe towarzyskie mecze z Polską i Norwegią jest 10 uczestników igrzysk sprzed czterech lat, w tym legendarny już Wood i bramkarz Lechii - Alex Paulsen, który został wypożyczony do klubu z Gdańska z Bournemouth. Zdobywca Pucharu Narodów Oceanii 2024 wywalczył w Lechii miejsce w 7 kolejce i nie zamierza go oddać. Z Paulsenem zespół z Wybrzeża ugrał 7 punktów w 5 meczach. W drużynie narodowej jest obecnie dwójka, numer jeden to Max Crocombe, teraz rezerwowy w Millwall.

Awans na mundial 2026 Kiwi osiągnęli bez żadnych problemów, bo w strefie Oceanii brakuje im poważnego konkurenta.



Nowozelandczyk Chris Wood w barwach Forest

Na przyszłoroczny wielki turniej wybierają się z nadziejami na sprawienie niespodzianek i nie zaniebują żadnych niuansów. W październiku drużynę Bazeleya czekają konfrontacje z rywalami z Europy, w listopadzie przetestują ich Kolumbia i Ekwador z Ameryki Południowej. Atutem Nowozelandczyków, którzy w kadrze na Polskę mają zawodników m.in. z takich klubów, jak Nottingham Forest, Sheffield United, Swansea City, AS Saint Etienne, PEC Zwolle, Kilmarnock, TSC Backa Topola są niesamowite charaktery.

Polacy mierzyli się z Kiwi dwukrotnie, pierwszy raz w 1999 w Pucharze Czterech Narodów w Bangkoku (0:0, karne 5:4), kiedy debiut zaliczył Michał Żewłakow, obecny dyrektor sportowy Legii Warszawa. W październiku 2002 w Ostrowcu Świętokrzyskim było 2:0 po trafieniach Krzysztofa Ratajczyka i Mariusza Kukielki. A już 9 października w Chorzowie na Stadionie Śląskim trzecia batalia między tymi zespołami. ©©

KADRA NOWEJ ZELANDII POWOŁANA NA MECZE Z POLSKĄ I NORWEGIĄ

bramkarze: Max Crocombe (Millwall FC, Anglia), Alex Paulsen (Lechia Gdańsk, Polska), Nik Tzanev (Newport County AFC, Walia);
obrońcy: Tyler Bindon (Sheffield United FC, Anglia), Michael Boxall (Minnesota United FC, USA), Francis de Vries (Auckland FC), Tim Payne (Wellington Phoenix FC), George Stanger (Kilmarnock FC, Szkocja), Finn Surman (Portland Timbers, USA), Bill Tuiloma (Charlotte FC, USA), Dalton Wilkins (Kolding IF, Dania);
pomocnicy: Joe Bell (Viking FK, Norwegia), Matt Garbett (Peterborough United FC, Anglia), Eli Just (Motherwell FC, Szkocja), Callum McCowatt (Silkeborg IF, Dania), Ben Old (AS Saint-Étienne Loire, Francja), Owen Parker-Price (Örgryte IS, Szwecja), Sarpreet Singh (FK TSC (Bačka Topola, Serbia), Marko Stamenić (Swansea City AFC, Walia), Ryan Thomas (PEC Zwolle, Holandia);
napastnicy: Andre de Jong (Stellenbosch FC, RPA), Ben Waine (Port Vale FC, Anglia), Chris Wood (Nottingham Forest FC, Anglia).

11. KOLEJKA EKSTRAKLASY

LECHIA GDAŃSK - WISŁA PŁOCK 1:1

Bramki: Sezonienko 29 - Kamiński 49

POGOŃ SZCZECIN - PIAST GLIWICE 2:1

Bramki: Ndiaye 40, Grosicki 89 - Barkovskiy 43

BRUK-BET TERMALICA - WIDZEW ŁÓDŹ 2:4

Bramki: Guerrero 20, 82 - Bergier 29, Alvarez 54, 57, 67

RADOMIAK - ZAGŁĘBIE LUBIN 3:1

Bramki: Rocha 13 (bram. samobójcza), Kinque 30, Grzesik 53 - Rocha 69

ARKA GDYNIA - CRACOVIA 2:1

Bramki: Kerk 12, 84 - Kakabadze 78

JAGIELLONIA BIAŁYSTOK - KORONA KIELCE 3:1

Bramki: Lozano 45, 56, Imaz 82 - Sotiriou 90+4

RAKÓW CZĘSTOCHOWA - MOTOR LUBLIN 2:0

Bramki: Braut Brunes 45 i 57

1. Jagiellonia Białystok	10	21	19-12
2. Górnik Zabrze	10	19	15-8
3. Cracovia	10	18	18-12
4. Korona Kielce	11	18	15-10
5. Wisła Płock	10	18	12-7
6. Legia Warszawa	9	15	12-6
7. Radomiak Radom	11	15	20-19
8. Lech Poznań	9	15	17-16
9. Raków Częstochowa	10	14	12-13
10. Zagłębie Lubin	10	13	21-16
11. Widzew Łódź	11	13	17-15
12. Pogoń Szczecin	11	13	16-20
13. Arka Gdynia	11	12	7-15
14. Motor Lublin	10	11	11-16
15. Bruk-Bet Termalica	11	9	15-21
16. GKS Katowice	10	8	11-21
17. Piast Gliwice	9	7	8-11
18. Lechia Gdańsk	11	7	19-26

Program 12. kolejki

Piątek 17:00

Motor Lublin - GKS Katowice (godz. 18.00),
Widzew Łódź - Radomiak Radom
(godz. 20.30).

Sobota 18:10

Korona Kielce - Górnik Zabrze (godz. 14.45),
Jagiellonia Białystok - Arka Gdynia (godz. 17.30),
Cracovia - Raków Częstochowa (godz. 20.15).

Niedziela 19:10

Piast Gliwice - Lechia Gdańsk (godz. 12.15),
Lech Poznań - Pogoń Szczecin (godz. 14.45),
Zagłębie Lubin - Legia Warszawa (godz. 17.30).

Poniedziałek 20:10

Wisła Płock - Bruk-Bet Termalica Nieciecza
(godz. 19.00).

JEDENASTKA KOLEJKI



NAJLEPSI STRZELCY

7 goli

Jesus Imaz (Jagiellonia Białystok)

6 goli

Mikael Ishak (Lech Poznań),
Filip Stojilković (Cracovia)

5 goli

Fran Alvarez (Widzew Łódź),
Jan Grzesik (Radomiak Radom),
Dawid Błanik (Korona Kielce),
Tomas Bobcek (Lechia Gdańsk),
Michail Kosidis (Zagłębie Lubin)

BOHATER WEEKENDU

Fran Alvarez (Widzew Łódź)

Pomocnik łódzkiego klubu zaliczył klasyczny hat-tricka w wyjazdowym meczu w Niecieczy z Bruk-Bet Termaliką. Hiszpan zdobył wszystkie bramki w drugiej połowie, a jeszcze ciekawsze, że zrobił to w zaledwie 13 minut. W 70. minucie znów pokonał bramkarza gospodarzy, ale był na pozycji spalonej.



PKO Ekstraklasa Hat-trick Alvareza, dublet Kerka, Rocha na dwa fronty

Arka zaskoczyła nie tylko Pasy. Przetłamanie Pogoni i Widzewa

Jacek Czaplewski
redakcja@polskapress.pl**Przetłamanie Pogoni w debiucie nowego trenera, błyskawiczny hat-trick gwiazdy Widzewa oraz niespodziewane zwycięstwo Arki nad Cracovią - to wszystko wydarzyło się w minionej kolejce.**

11. kolejka wystartowała na Wybrzeżu. Zamykająca tabelę Lechia Gdańsk bez wykartkowanego Camilo Meny podjęła najlepszego beniaminka, który jeszcze chwilę temu zajmował fotel lidera, czyli Wisłę Płock.

W pierwszej połowie gra układała się po myśli gospodarzy, którzy objęli prowadzenie dzięki wznowieniu z autu i bramce Kacpra Sezonienki. Od razu po przerwie do głosu doszli jednak goście, ustalając wynik na 1:1 po uderzeniu byłego reprezentanta Polski Marcina Kamińskiego. Lechia wypuściła mecz, ale trener John Carver chwalił piłkarzy za samą grę:

- Tak mają grać moje drużyny - usłyszeliśmy na konferencji. Mariusz Misiura podziękował z kolei podopiecznym za wyrwanie punktu i zadeklarował, że zgodzi się na pięć dni wolnego.

W piątek emocje sięgnęły zenitu w Szczecinie - nie tylko z powodu koncertu na stadionie popularnego Skolimka. Pogoń po serii trzech porażek i zwolnieniu Roberta Kolendowicza miała wiele do udowodnienia. W debiucie duńskiego trenera Thomasa Thomasberga grała dobrze, ale bardzo nieskutecznie (oddawa blisko trzydzieści strzałów). Mało tego, jedną z piłek



Trzy punkty sensacyjnie zostały na Wybrzeżu, bo fantastycznie zagrał Sebastian Kerk

zmierzających do bramki zablokował... jej piłkarz, Musa Juwara. Wreszcie w końcówce rzut karny na wagę wyczekiwanego od sierpnia zwycięstwa wykorzystał niezawodny Kamil Grosicki, podcinając piłkę w stylu Antonina Panenki.

- Wcześniej strzelałem na siłę, przy karnym musiałem się wyluzować, a podcinka to był jedyny sposób - wytłumaczył reprezentant Polski.

Bardzo mocne słowa padły pod adresem sędziego Damiana Sylwestrzaka. - Jestem pewny, że tego karnego nie powinno być. Gorszego sędziego dotąd nie spotkałem - wypalił trener Piasta Max Mölder.

W deszczu, przy dojmującym chłódzie i silnym wietrze toczył się z kolei sobotni mecz przyjaźni

pomiędzy Arką Gdynia a Cracovią, przerywany dwukrotnie z powodu zadymienia stadionu wywołanego racami. Grę zresztą rozpoczęto z dziesięciominutowym opóźnieniem z powodu awarii oświetlenia.

Faworyzowani goście wypadli blado, a ich najlepszy strzelec Filip Stojilković nie zrobił do słownie nic. Trzy punkty sensacyjnie zostały na Wybrzeżu, bo fantastycznie zagrał autor dubletu Sebastian Kerk. Niemiec ściągnięty z Widzewa najpierw strzelił głową po dośrodkowaniu, by pod koniec regulaminowego czasu ustalić wynik bezpośrednio z rzutu wolnego. Strzał z okolicy szesnastego metra był perfekcyjny.

Skoro o Widzewie mowa, to warto odnotować kolejną wy-

graną łódzkiego zespołu w Niecieczy. Pod koniec września zespół po konkursie rzutów karnych wyeliminował Bruk-Bet Termalikę z Pucharu Polski. Teraz uporał się z nią w lidze, pokonując 4:2. Bohaterem nie został jednak żaden z pozyskanych latem zawodników, lecz Fran Alvarez, który potrzebował nieco ponad kwadrans do ustrzelenia klasycznego hat-tricka. Tym meczem krytykowany ostatnio trener Patryk Czubak „kupił” sobie trochę czasu.

Dużo bramek padło też w Radomiu, gdzie Radomiak zasłużyłnie pokonał Zagłębie Lubin 3:1. Do obu bramek trafił były napastnik gospodarzy Leonardo Rocha, który w pierwszej połowie zaliczył pechowego samobója. ©©

Liga Konferencji: Miało być cztery na cztery, ale wszystko zepsuła Legia Warszawa

Bartosz Głęb

redakcja@polskapress.pl

LIGA KONFERENCJI. Polskie zespoły zgarnęły 1,5 pkt do rankingu UEFA dzięki zwycięstwom Lecha Poznań, Jagiellonii Białystok oraz Rakowa Częstochowa w pierwszej kolejce fazy ligowej.

Zawiodła tylko Legia Warszawa, która nie sprostała tureckiemu Samsunsporowi.

Najbardziej efektywne zwycięstwo osiągnął Lech. Mistrz

Polski przy Bułgarskiej rozbił Rapid Wiedeń aż 4:1, a wynik mógł być jeszcze bardziej okazały. Pierwsza połowa ułożyła się dla Austriaków jak z najczarniejszego koszmaru. W 13. minucie do siatki trafił Luis Palma, a w 21. minucie po fatalnym błędzie bramkarza podwyższył Mikael Ishak. Szwedzki napastnik w 34. minucie nie wykorzystał karnego, ale tuż przed przerwą efektywnym trafieniem popisał się Taofeek Ismaheel.

- Niklas Hedl popełnił dwa błędy. Po przerwie pozna-

niacy zwolnili tempo. I tylko dlatego Rapid ustabilizował się, jednak nie mogło być mowy o odwróceniu losów meczu - ocenił austriacki serwis „Der Standard”.

Raków Częstochowa pewnie pokonał w Sosnowcu rumuńską Universitatem Craiova 2:0. Tuż po przerwie objął prowadzenie, a chwilę później czerwoną kartką został ukarany zawodnik przyjezdnych. W końcówce Medaliki zadały drugi cios.

- Universitatea Craiova za mała na Europę! Podpisała na siebie wyrok w drugiej poło-

wie meczu w Sosnowcu, kiedy Raków otworzył wynik za sprawą Tomasa Pięńki, a Screciu został wyeliminowany z gry za faul - podsumował rumuński portal „gsp.ro”.

Jagiellonia Białystok bez fajerwerków rozpoczęła drugi z rzędu udział w fazie ligowej Ligi Konferencji. Duma Podlasia przed własną publicznością okazała się minimalnie lepsza od maltańskiego Hamrun Spartans FC, który debiutował w europejskich pucharach. Zwycięstwo 1:0 zapewnił Jesus Imaz.

Zawiodła Legia Warszawa, która przy Łazienkowskiej - w opartym na rezerwowym składzie - przegrała z Samsunsporem 0:1. Po голу straconym już w 10. minucie, kiedy przez pół boiska pomknął holenderski napastnik Anthony Musaba i mocnym strzałem pokonał Kacpra Tobiasza. - Samsunspor wygrał po raz pierwszy od 27 lat w europejskich pucharach i odniósł 7. zwycięstwo w swojej historii - odnotował turecki serwis „Haberler”.

Dzięki udanemu startowi w fazie ligowej Ligi Konferencji

aż trzech naszych zespołów Polska wróciła na 13. miejsce w rankingu krajowym UEFA i zbliżyła się do zajmującej 12. miejsce Norwegii.

W następnej kolejce, 23 października, Legia pojedzie do... Krakowa na mecz z grającym tam w roli gospodarza ukraińskim Szachtarem Donieck. Raków w Czechach zmierzy się z Sigmą Olomuniec. Jagiellonię we Francji podejmie RC Strasbourg. Natomiast Lech na Gibraltarze zagra z tamtejszym Lincoln Red Imps FC. ©©

Wioslarstwo Reprezentanci Polski jeszcze nie myślą o igrzyskach

ŻOŁNIERZE NA ZŁOTY MEDAL

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Rozmawiamy z Mateuszem Biskupem, mistrzem świata w wioslarstwie z Szanghaju w dwójce podwójnej w duecie z Mirosławem Ziętarskim.

Po sukcesie z czwórką podwójną na igrzyskach w Paryżu, gdzie polska osada zdobyła brązowy medal, postawiliście z Mirosławem Ziętarskim na starty w dwójce. Okazało się to znakomitą decyzją. Najpierw mistrzostwo Europy w maju w Płowdiw, teraz mistrzostwo świata.

Ja i Mirek od dawna lubiliśmy startować w dwójce, gdy tylko pozwalało zdrowie. Już na igrzyskach w Tokio mieliśmy szansę na medal, wiosłowaliśmy naprawdę szybko, ale wtedy forma przyszła odrobinię za wcześnie.

Razem startowaliście już blisko 10 lat temu. W dorobku macie srebrny (2017) i brązowy (2019) medal MŚ oraz srebrny ME (2017).

Z biegiem lat zyskaliście cenne doświadczenie, które teraz potrafiliście już wykorzystać i przełożyć na medal. Bardziej czuliście swoje organizmy, wiedzieliście, w którym momencie trochę dołożyć, a w którym zmniejszyć obciążenia treningowe.



Mateusz Biskup (L) i Mirosław Ziętarski zdobyli złoty medal wiosłarskich mistrzostw świata w Szanghaju

Udany start na igrzyskach we Francji i brązowy medal nauczył was, jak radzić sobie z presją?

Niewątpliwie dodał nam pewności siebie, dał nam spokój. A to nam bardzo pomogło, mogliśmy się skupić wyłącznie na tym, żeby jak najlepiej się przygotować i popłynąć. Czułem bardziej motywację niż presję i chęć udowodnienia swojej przydatności do naszej ekipy.

W finale wręcz zdemolowaliście rywali, wyprzedzając na mecie drugich Serbów aż o 1,6 sekundy. W którym momencie poculiście, że zło-

tego medalu nikt wam już nie odbierze?

Po 500 metrach wiedziałem, że będzie dobrze. Czuliśmy, że już nic nie musimy dokładać, że trzeba płynąć swoje. Wiedzieliśmy, że rywale nas nie dogonią. Musieliby zrobić naprawdę nieprawdopodobny sprint, a my musielibyśmy popełnić jakiś znaczący błąd.

Ważnym elementem przygotowań była aklimatyzacja. Mielicie dużo czasu, by dostosować do zmiany strefy czasowej i warunków klimatycznych w Szanghaju?

Przed pierwszym startem spędziliśmy niemal dwa tygodnie

w Chinach. Warunki stanowiły dla nas największe wyzwanie. Przed finałem musieliśmy się cały czas chłodzić, była duża wilgotność i wysokie temperatury.

W Szanghaju brązowy medal wywalczyła też czwórka podwójna. Można mówić o odrodzeniu polskich wiosł?

Na pewno tak. Widać, że sprawy idą w dobrym kierunku. Pojawiają się młodzi i utalentowani zawodnicy, którzy coraz bardziej dobijają się do seniorskiej reprezentacji. Na mistrzostwach świata nasz kraj wystawił też dwie ósemki, co już dawno nie miało miejsca.

Zarówno pan, jak i Mirosław Ziętarski jesteście żołnierzami Wojska Polskiego.

I to jest dla nas dodatkowa motywacja, że możemy startować nie tylko jako reprezentanci kraju, ale też żołnierze. Jesteśmy z tego bardzo dumni.

Myślicie już powoli o starcie na igrzyskach olimpijskich w Los Angeles w 2028 roku?

Na razie nie wybiegam aż tak daleko w przyszłość. Po drodze jest kilka mniejszych przystanków i ważnych startów i patrę bardziej krótkoterminowo. Nie chcę za daleko sięgać myślami, bo nigdy nie wiadomo, co życie przyniesie. ©©

„Master” wraca na tron. Polak blisko wielkiej kasy

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

W walce wieczoru gali bokserkiej „Nosalowy Dwór KnockOut Boxing Night 41” w Zakopanem Mateusz Masternak pokonał przez nokaut Belga Joela Tambwe Djeko i zdobył tytuł mistrza Europy.

Po trzynastu latach przerwy Mateusz Masternak (50-6, 33 KO) ponownie zdobył pas bokserkiego mistrza Europy w kategorii cruiser, wygrywając przed czasem - w siódmej z dwunastu zakontraktowanych rund - z mierzonym blisko dwa metry wzrostu Joelem Tambwe Djeko (19-4-1, 9 KO).

Dla „Mastera” to jubileuszowe, 50. zwycięstwo na zawodowym ringu. Tego samego dnia, tyle że w 1997 roku, Andrzej Gołota został znokautowany w Atlantic City przez Brytyjczyka Lennox Lewisa...

15 grudnia 2012 roku Mateusz Masternak po raz pierwszy zdobył tytuł mistrza Europy federacji EBU w kategorii junior ciężkiej, pokonując w Norymberdze jednogłośnie na punkty (120:108, 120:108 i 120:108) Fina Juho Haapoja. Tym samym został szóstym Polakiem, który zdobył pas czempiona Starego Kontynentu.

Na ringu w Centrum Kongresowym „Gerlach” w zakopiańskim kompleksie hotelowym „Nosalowy Dwór Resort & SPA” to Polak dyktował tempo, od początku spychając przeciwnika do defensywy. W 7. rundzie Masternak uderzył mocnym lewym prostym, szybko poprawiając dwoma prawymi w okolicę skroni. „Big Joe” padł oszołomiony na deski - liczony, przegrał przez nokaut.

Jotko już w finale

Z kolei na słowackiej ziemi - w hali „Tipos Arena” w Bratysławie

wie, w trakcie gali „Oktagon 77” Krzysztof Jotko pokonał jednogłośnie decyzją sędziów (29-28, 29-28, 30-27) największe objawienie czeskiej organizacji ostatnich lat - który od 2022 roku wygrał siedem z ośmiu pojedynków - Irańczyka Hojata Khajevanda.

Tym samym Polak awansował do finału turnieju „Tiposport Gamechanger 3” (pula nagród: 1 000 000 euro) w wadze średniej (83,9 kg), w którym zmierzy się z groźnym Turkiem Kerimem Engizekiem. Finał odbędzie się 28 grudnia br.

Już sam udział w decydującej walce turnieju „Tiposport Gamechanger 3” sprawi, że Krzysztof Jotko zarobi gwarantowane 130 000 euro, czyli ponad pół miliona złotych! Zwycięzca może liczyć na czek w wysokości 300 000 euro = ok. 1270 000 złotych!

Wielka Niewiadoma

Katarzyna Niewiadoma zdobyła srebrny medal kolarskich mistrzostw Europy w wyścigu ze startu wspólnego, które odbywały się na francuskich szosach we Francji. Zwyciężyła - po samotnym finiszu - Holenderka Demi Vollering.

Do mety w miejscowości Guilherand-Granges (departament Ardeche) nasza cyklistka dojechała z inną Niderlandką, utytułowaną Anną van der Breggen, która na ostatnich metrach nie podjęła jednak walki o srebro.

Dzisiaj rusza ostatni w tym roku turniej tenisowy rangi WTA 1000 - „Dongfeng - Voyah Wuhan Open”. Na kortach twardych „Optics Valley International Tennis Center” w chińskim Wuhan, nasza Iga Świątek rozpoczęła rywalizację od 2. rundy, podobnie jak najwyżej rozstawiona, Białorusinka Aryna Sabalenka. Pierwszą rywalką Polki będzie zwyciężczyni meczu Kolumbijki Camilli Osorio z Czeszką Marie Bouzková. ©©

Trzy medale mistrzostw świata Klaudii Zwolińskiej!

Łukasz Konstanty
redakcja@polskapress.pl

Niezwykle udane mistrzostwa świata w kajakarstwie górskim ma za sobą Klaudia Zwolińska, która w Australii wywalczyła trzy medale, w tym dwa złote.

Tak znakomych rezultatów nie spodziewał się nikt, łącznie z samą kajakarką. Owszem, medalistka olimpijska sprzed roku jechała na najważniejsze tegoroczne zawody z myślą, by powalczyć o złoto, ale chodziło wyłącznie o K-1, a więc jej ulubioną konkurencję. Tymczasem nie dość, że Polce udało się zrealizować główny cel, to dodatkowo najlepsza okazała się także w rywalizacji kanadyjskiej, a do dorobku ostatniego dnia zmagania dorzuciła również brąz w najmłodszej konkurencji, którą jest cross.



To były znakomite mistrzostwa świata dla Klaudii Zwolińskiej, która została podwójną mistrzynią świata

- To jest coś niesamowitego, nie mogę w to uwierzyć! Nie spodziewałam się takiego scenariusza. Rok po igrzyskach olimpijskich taka sytuacja...! Chyba dobrze odrobiłam lekcję z tamtej imprezy - cieszyła się z sukcesów Zwolińska.

Polska kajakarka, zdobywając dwa mistrzowskie tytuły w tym samym roku, powtórzyła wyczyn wielkiej Jessiki Fox, która taki sukces notowała w 2014 i 2018 roku, a podczas ostatnich igrzysk olimpijskich zdobywała złote medale

w konkurencjach K-1 i C-1. Australijka w tegorocznych mistrzostwach nie startowała, w sierpniu przeszła bowiem operację wycięcia guza nerki.

Zwolińska to druga w historii polska mistrzyni świata w konkurencji K-1. Również pięćdziesiąt lat temu najlepsza okazała się Maria Cwiertniewicz. W młodszej konkurencji (kobiety rywalizują w niej na MŚ dopiero od 2009 roku), a więc C-1, to pierwszy w historii medal dla naszego kraju, podobnie zresztą jak w konkurencji cross.

- Mistrzostwa świata były naszą imprezą docelową, szykowaliśmy się do niej cały sezon. To właśnie w Penrith chcieliśmy uzyskać szczyt formy i cieszyć się, że nam się udało, a na dodatek w historyczny, wymierny sposób - podsumował zakończone mistrzostwa świata trener reprezentacji Jakub Chojnowski. ©©



38-letni Mateusz Masternak odniósł trzecie zwycięstwo z rzędu na zawodowym ringu. Czas na nowe wyzwania...

MAGAZYN

SPORTOWY24

Rozpoczyna się zgrupowanie piłkarskiej reprezentacji Polski. Przed meczami z Nową Zelandią i Liwą, rozmawialiśmy z selekcjonerem STR. 20



FOT. MARZENA BUGAŁA-ASTASZOW POLSKA PRESS

Urban: Stabilizacja jest najważniejsza!

MAMY MISTRZA EUROPY W BOKSIE I WICEMISTRZYNIĘ W KOLARSTWIE
STR. 23

Legia zepsuła zabawę w Lidze Konferencji, Arka zaskoczyła w PKO Ekstraklasie
STR. 22

Klaudia Zwolińska multimedalistką mistrzostw świata w kajakarskie górskim
STR. 23